



ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

STRON 8

ROK V • NR. 7 / 191/
NIEDZIELA
18 LUTEGO
LONDYN • 1951

CENA 1 sh

W NUMERZE:
WSZYSTKIEMU WINIEN
COOK • Dyskusje •
AKADEMICKA CIOCIA

JAN TOKARSKI

NIETYKALNE DZIEDZICTWO

MOŻNA zaryzykować zdanie, że w ostatnim stuleciu co półtora pokolenia wybucha silny kryzys wewnątrz katolickiego obozu. Przyjrzyjmy się bowiem datom:

W roku 1864 wychodzi *Syllabus* Piusa IX. W 43 lata później, bo w r. 1907, mamy dekret *Lamentabile* i encyklikę *Pascendi* Piusa X. I znów dokładnie po 43 latach od wystąpienia Piusa X zjawia się encyklika *Humani Generis* Piusa XII.

Nie trzeba dodawać, że zbieżność dat jest tu przypadkowa. Jednakowoż rozpiętość czasu między nimi zawartego obejmuje mniejszej okres półtora pokolenia.

Wiemy dobrze wszyscy, że jest zasadnicza różnica między celem i kierunkiem wystąpienia Piusa IX, a akcją Piusa X przeciw modernizmowi, temu „spotkaniu wszystkich herezji” i krokiem Piusa XII przeciwko współczesnym „fałszywym poglądom, zagrażającym podstawom nauki katolickiej”. Pius X i Pius XII wystąpili przeciwko nieładowi myślowemu głównie w tonie katolicyzmu, gdy uderzenie Piusa IX, potępiającego 80 tez liberalizmu, było skierowane w pierwszym rzędzie na zewnątrz. Za Piusa IX, żeby się posłużyć trochę naciągany przybliżeniem, — był to modernizm nowożytnego państwa, który w imię nowoczesności wypierał brutalnie Kościół poza wszelką sferę życia, działania, wpływu i odmawiał mu prawa do istnienia, jako ponuremu relikwii czasów barbarzyńskich, godzącemu w podstawowe wolności człowieka.

Za Piusa X natomiast był to liberalizm, który zawłókł swoje tezy polityczne z dodatkami biologizmu i witalizmu na teren filozoficzno-religijny i pod pozorem ratowania religii w oczach „nowoczesnego” człowieka, rozciągał Objawienie w agnostycyzmie, immanentyzmie i ewolucjonizmie, kończąc na zaprzeczeniu Bogu nie tylko praw niezmiennych w życiu i kulturze, ale w Jego osobowym, transcendentnym bytowaniu, niezależnym i różnym od świata. Wraz z zakwestionowaniem wszelkiej możliwości wiedzy o Bogu Stwórcy — pojawia się immanentne niekomunikatywne „doświadczenie” jakiejś Istoty, tworzonej przez irracjonalne, podświadome „potrzeby duchowe” człowieka, przez uczucie, intuicję. „Powinniśmy pożegnać dawnego Boga metafizycznego, dziękując mu za usługi, świadczone do czasu”... Był to stworzony przez katolickich teologów i myślicieli swoisty „katolicki ateizm”, modernizm bezbożny, bo obywający się bez Boga leżało w duchu epoki zadowolonego z siebie, sytego mieszczaństwa, uznającego jedną jedyną teologię z wszystkich możliwych: — teologię trawienia.

Dziś znowu mamy jakby „modernizm” pobożny, nasze czasy bowiem sprzyjają nastawieniom religijnym, wszystko jedno co byśmy chcieli powiedzieć o rodzaju i kierunku tej religijności. „Modernizm pobożny” jest czymś, co można by nazwać teologią rozpaczki, lub jakimś opcjonizmem witalnym, głoszącym, że „pouczenia o Bogu osobowym i Jego przykazaniach doskonale harmonizują z potrzebami życia”. Dlatego właśnie wszyscy powinni je przyjąć, aby uniknąć roz-

paczy i osiągnąć zbawienie wieczne”. Jest to jakby forma pragmatyzmu mistycznego w nowej postaci, rodzaj usprawiedliwienia potrzeby wiary, a nie jej obowiązku. Jest to również jakiś sentymentalny *konkordyzm*, odrzucający realne różnice pomiędzy wyznaniem chrześcijańskimi a opowiadającymi się za tym jedynie, co łączy, dla przeciwstawienia się groźbie ateizmu, gdy przyjmowanie tylko tego co łączy, a odrzucanie tego, co istotnie dzieli, doprowadziło by wprawdzie „do połączenia, ale tylko we wspólnej ruinie”.

Za Grzegorza XVI i Piusa IX także nie brak było kierunków katolickich, których przedstawiciele (jak to wytyka Pius XII niektórym dzisiejszym teologom i filozofom) schodzili na bezdroża „z nadmiernej pogoni za nowościami lub z obawy przed zarzutem nieznajomości osiągnięć postępu w naukach”, a bardzo często „pod wpływem nierozważnej gorliwości duszpasterskiej lub ulegając nieokreślonym porywom” dostosowania nauk Kościoła do „wyników” nauk świeckich czy też do szczególnych potrzeb czasów. To zjawisko towarzyszy wszelkim religiom, a z chrześcijaństwem idzie już od czasów apostołskich. I nie możemy nawet powiedzieć, aby ten duch adaptacji był silniejszy w naszych czasach niż

Ponieważ rozmawialiśmy o spóźnieści, Jego Eksceleńcja użył następującego przykładu: — Dziś Ks. Wawrzyniak nie mógłby działać nawet we własnym państwie. Jeśli by nie należał do partii rządzącej, jego akcja bez względu na widoczne korzyści, została by przekreślona w trybie administracyjnym. Jego działalność tak jawnie groźna dla państwa pruskiego, mogła jednak istnieć i rozwijać się, ponieważ nigdy nie wyłamała się z granic prawa. Ale to było możliwe tylko w państwie, które samo prawa przestrzegało. Gdyby dziś u nas, czy w Niemczech, zjawiał się nowy Drzymała, choćby go broniła Konstytucja każdym artykułem, zwyczajny policjant zlikwidowałby jego protest, a Drzymała znalazłby się w obozie koncentracyjnym...

Już przed ostatnią wojną cień powszechnego bezprawia zalegał nad Europą, a w tych mrokach rozdził się potworny owoc bezprawia: obozy koncentracyjne. Bardzo naiwny jest ten Francuz, który dwa lata temu napisał do Dawida Rousset: „Toutes les nations sont dans une situation précon-

centrationnaire”. Wszystkie narody są w stanie „przedkoncentracyjnym”, to znaczy, że wszystkie przyjmują jako instytucję oboz koncentracyjny. Niemal nie ma państwa, które by w tej czy innej postaci nie miało na sumieniu tej hańby nowych czasów: obozów, a wraz z nimi nie miało swego udziału w przygotowaniu powrotu niewolnictwa, instytucji, zdawałoby się, przewyższonej na zawsze.

Wszystko jedno w jakiej epoce, punkt wyjścia podobnych adaptacji jest niemal zawsze taki sam (że pozwolę sobie zaczerpnąć z frazeologii modernistycznej, stosowanej niemal dosłownie także przez przedstawicieli „nowej teologii”), której teży piętnuje encyklika „*Humani Generis*”: „dostosowanie Kościoła do umysłowości i potrzeb wieku”; „reinterpretowanie chrześcijaństwa w terminach myśli nowoczesnej” w celu zaspokajania przepaści między „wynikami” ciągle rozwijających się nauk a nieruchomością Objawienia, teologii i metafizyki. I chyba zawsze w takich okresach

1) Nawet w tej nazwie jest nie miłe wspomnienie modernizmu, który również walczył o „nową teologię”. Por. choćby pracę znanego odstępę modernistycznego, angielskiego ex-jezuity, G. Tyrrella: „Through Scylla and Charybdis or the old Theology and the new”. (Rok 1907).

Chrześcijaństwo Konstantyna Wielkiego było natury koniunkturalnej. Lecz taka jest siła jego logiki wewnętrznej, że nawet ten władca, który zgodnie z tradycjami cesarów-pontifexów usiłował sam rządzić Kościołem, nie mógł ująć tej logice i przyjąwszy nowy stan rzeczy, musiał dać mu wyraz w nowym ustawodawstwie; a wychodziło ono już z innej koncepcji godności człowieka; — k a ż d e g o człowieka. Wśród różnych reform prawnych wystarczy wskazać na jedną, pozornie drobną, która jednak dobitnie mówi, że razem z chrześcijaństwem wchodził w świat nowe pojęcie godności ludzkiej. Oto Konstantyn zakazuje odwiecznego zwyczaju znaczenia niewolników pletnem na czoło, a zakaz jest uzasadniony tak wymownie, że należy go przytoczyć: „quo facies quae ad similitudinem pulchritudinis coelestis est figurata minime maculetur”: aby przez to oblizcze, które na podobieństwo piękności niebieskiej jest ukształtowane, w najmniejszym stopniu nie zostało dotknięte zmacą... Oto przepis niemal jeszcze poganina, który dopiero wchodził w kontakt z chrześcijaństwem. A to co dziś, po 16 wiekach od tamtych czasów, dzieje się z człowiekiem — i nie tylko w Rosji — jest miarą, jak daleko od chrześcijaństwa odeszliśmy. Bo cały niemal świat podległ tej samej potwornej zarazie, która

na terenach sowieckich i przez Sowietów zagarniętych występuje „tylko” w szczególnie diabolicznym zmasowaniu i nasileniu: zanikowi prawa, związanego z moralnością i nie osmielającego się przekraczać jej granic oraz odrzuceniu chrześcijańskiej nauki o nadprzyrodzonej godności osoby ludzkiej i jej pierwszeństwa przed rodziną, przed klasą, przed narodem, przed państwem, przed Kościołem nawet. Albowiem wszystkie te społeczności w idealnym porządku świata istnieją dla pełnego rozwoju osoby ludzkiej i dla jej dobra.

burzy i naporu daje się wysłyszeć równie drastyczne i równie opaczne sformułowanie, jak to, które przed niespełna siedmiu laty wyszło spod pióra jednego z głównych przedstawicieli szkoły „nowej teologii”: „Teologia, która by nie była aktualną, byłaby teologią fałszywą”...

I niemal z reguły podobne wysiłki, podejmowane nawet w szerszej zrazu intencji obrony nauki Kościoła przez „dososowanie” jej do modnych kierunków myślowych, czy też w opozycji do nich, kończyły się albo degradowaniem nadprzyrodzonej (semiracjonalizm, modernizm), albo zaprzeczeniem przedmiotowej wartości poznania i możliwości metafizyki racjonalnej — a więc degradacją rozumu (tradycjonalizm, ontologizm, modernizm; dzisiejsza „nowa teologia”), nie mówiąc już o tym, że jak w modernizmie, łączyły się wszystkie możliwe rodzaje błędów razem. I zawsze próby takie godziły w Żywy Urząd Nauczycielski, w równowagę pomiędzy tymi prawdami nadprzyrodzonymi i naturalnymi, które Magisterium Kościoła niezmiennie głosi.

Rzecz jasna, że błędy wśród myślicieli katolickich nie powstają w oderwaniu od ogólnych tendencji myślowych epoki ani w izolacji od głównego nurtu myśli nowożytnej.

Nie od dziś wskazują Papieże na źródło tej potworności, jaką jest powracające niewolnictwo: Jest nim powszechny w cywilizacji zachodniej pozytywizm i pragmatyzm jurydyczny, według którego wystarczy państwu jakiś fakt, aby k a ż d a potrzebna ustawę narzucić jako obowiązujące prawo. Ale takie prawo legalne, mówi Pius XII, „zabiera człowiekowi wszelką godność osobistą, zaprzecza mu podstawowe prawa do życia i całości ciała, a życie i ciało wydaje samowoli partii lub państwa. (...) Nazywa ładem — bezład, autorytetem — tyranie, wolnością — niewolnictwo, cnotą patriotyczną — zbrodnie”. A w wyniku — musi przyjąć oboz koncentracyjny jako porachunek z obywatelem, powrotne niewolnictwo jako „prawny” system, praca zaś zamiast być funkcją społeczną i wolnym choć zorganizowanym udziałem człowieka w tworzeniu dóbr cywilizacji i kultury, legitymacją godności, zostaje przymusem niewolnika, sprowadzonego do roli bezdusznego narzędzia, pędzonego znów batem, jak ongiś, przy budowie pomników pychy cesarów czy przy wznoszeniu piramid.

Z krytycyzmu kantowskiego wyszła większość głównych kierunków filozofii współczesnej, od idealizmu przez naturalizm, różne formy pozytywizmów, aż po kierunek krytycznego realizmu, bliskiego w niejednym zdrowej filozofii chrześcijańskiej... Jest Kant zjawiskiem tak potężnym, że nie tylko nie można go będzie nigdy ominąć, ale jest on wciąż jeszcze legitymacją najsprzeczniejszych prądów współczesnych jak również źródłem wielu błędów, napiętnowanych przez Papieża u myślicieli katolickich. A ja-

W historycznym sensie słowa — nowożytność.

Cechą postawy nowożytnej jest agnostycyzm i autonomizm subiektywizm w połączeniu z panewolucjonizmem. (Stare, mimo tej nowożytności, protagorasowskie: „człowiek — miarą wszechmocy” oraz słynna zasada Heraklita). Podstawa raz jest racjonalistyczna, to znowu, jak dziś na przykład, antyintelektualistyczna. Jednak, wbrew pozorom, w odniesieniu do chrześcijaństwa to przesuwanie się podstawy nie odgrywa roli zasadniczej. Ważne jest tylko to, że próby tych „reinterpretacji” zmieniają z gruntu naturę i charakter chrześcijaństwa.

U początku nowożytnej rewolucji subiektywizmu i autonomizmu stoi trzech ludzi: Luter, Kartezjusz i Rousseau.

Luter odrzucił wszelki autorytet rozumu w sprawach wiary i religii. Pamiętamy nie dające się zacytować wyzwicka reformatora przeciwko *ratio*, rozumowi i rozumowaniu teologicznemu. Stosunek człowieka do Boga podległ więc bezładowi nastawień subiektywnych. — Kartezjusz, ojciec subiektywizmu w filozofii, jest tym, który odrzuciłszy niewzruszone i oczywiste, oparte na doświadczeniu zasady, wprowadza całą filozofię nie z nich, lecz z myślą o podmiocie, z faktu własnego myślenia. On też odnowił przewyższone przez tomizm groźny dualizm dusza-ciało, którego nie potrafił rozwiązać, odrzuciwszy scholastykę. — Rozum, już obniżony w swej zdolności docierania do prawdy przez panenteizm Malebranche’a, różne formy okazjonalizmu i ontologizmu, zostaje wystawiony na anarchiczne ataki Rousseau’a („człowiek, który myśli, jest zwierzęciem zdeprawowanym”), wyznaczącym jako ludzką władzę naczelną to, co jest częścią naszej natury niższej, zwierzęcości: uczucie: Uczucie, intuicja, przeświadczenie wewnętrzne są według Rousseau’a i romantyków zarówno źródłem jak i normą prawdy („uczucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko”). Przedtem jeszcze racjonalistyczny deizm walczył z pojęciem nadprzyrodzonej i faktem Objawienia. I wreszcie Kant, który zaprzeczył wszelkiej możliwości poznania istoty rzeczy, wszelkiemu rozumowaniu metafizycznemu i wszelkim rzeczywistościom metafizycznym, religię zaś utożsamiał z etyką, odebrałszy jakiegokolwiek znaczenie obiektywne dogmatowi i teologii spekulatywnej. Wszelka bowiem postać Kościoła jest tylko czasowa; w miarę postępu oświecenia Kościół stanie się niewidzialny, a zapanuje religia czystej moralności.

Z krytycyzmu kantowskiego wyszła większość głównych kierunków filozofii współczesnej, od idealizmu przez naturalizm, różne formy pozytywizmów, aż po kierunek krytycznego realizmu, bliskiego w niejednym zdrowej filozofii chrześcijańskiej... Jest Kant zjawiskiem tak potężnym, że nie tylko nie można go będzie nigdy ominąć, ale jest on wciąż jeszcze legitymacją najsprzeczniejszych prądów współczesnych jak również źródłem wielu błędów, napiętnowanych przez Papieża u myślicieli katolickich. A ja-

J. T.

kie zamieszanie powodowała epoka Kanta w umysłach nawet bardzo żywych i bystrych po stronie katolickiej, niech zaświadczy fakt, wynotowany z historii filozofii, iż żarliwy kantysta, jezuita o. K. J. Michealer (um. 1804), zaproszony dla swych znakomitych wykładów o tym filozofie na katedrę w Królewcu (!), usiłował tłumaczyć cuda przy pomocy mechanizmu fizycznego, a swój iluministyczny liberalizm posunął tak daleko, że został członkiem loży masonskiej, nie przestając być równocześnie członkiem Kościoła. Jest to wymowny przykład tej „pogoni za nowościami”, „obawy przed zarzutem niezajomości postępu w naukach” i „braku rzetelnej wiedzy” filozoficznej i teologicznej, o czym mówi Pius XII w swej encyklice.

W przeciwieństwie do podobnych dokumentów innych Papieży, np. breve Grzegorza XVI „*Dum acerbissimas*” z 1835 roku przeciw J. Hernesowi czy choćby encykliki *Pascendi* Piusa X, ton *Humani Generis* jest, mimo stanowczości, łagodny. Mówiąc o powodach napiętnowanych błędów, Pius XII nie wymienił tych dwu, których nie oszczędził modernistom Pius X: ignorancji i pychy. Mimo pomyłek a nawet błędów tak wielkich, tak nie wspólnego nie mających ze słowami samego Zbawiciela, że człowiek świecki jest zdumiony, jak uczony i zakonnik może je głosić i być nadal członkiem swej społeczności zakonnej i członkiem Kościoła; mimo, że wielu przedstawicieli nowych kierunków „lżyło i obrażało” Urząd Nauczycielski Kościoła — Papież przemawia prawdziwie po ojcowski.

Na wstępie do encykliki Papież wylicza główne błędy dzisiejszych czasów „poza owczarnią Chrystusową”. Są one jednak podłożem, z którego wyrosły potęgające przez encyklikę fałszywe poglądy w samej owczarni. Błędne i przeciwne myśli chrześcijańskiej nauki należy dokładnie i krytycznie poznać, ich „studium bowiem zmusza do gruntowniejszego przemyślenia „pewnych prawd filozoficznych albo teologicznych”. Ponadto tai się w nich ziarno prawdy, jest bowiem rzeczą ontologicznie niemożliwą, aby istniał sam błąd bez przymieszki prawdy; lecz tylko przy gruntownej znajomości doktryny katolickiej można ocenić tak błąd jak i to, co jest w nich prawdziwe i próbować „należycie leczyc chorego” bez zarażenia się samemu, jak się to stało z niektórymi myślicielami katolickimi.

Jakie są główne kierunki myśli „poza owczarnią”? Encyklika wskazuje na najważniejsze, które prawie wszystkie sprowadzają się do ewolucjonizmu

„...są tacy, którzy przyjąwszy nierozważnie i bezkrytycznie system ewolucyjny, w samej dziedzinie nauk przyrodniczych nieudowodniony dotychczas bezspornie, tłumaczą nim powstanie wszystkich rzeczy, skłaniając się lekkomyślnie ku mo-

nistycznej i panteistycznej hipotezie nieustannej ewolucji wszechświata. Tym właśnie poglądem posługują się chętnie zwolennicy komunizmu do skuteczniejszej propagandy materializmu dialektycznego celem pozbawienia ludzi jakichkolwiek pojęć o Bogu.

Tego rodzaju ewolucjonizm, odrzucający pojęcia i rzeczywistości absolutne, stałe i niezmiennie, przygotował grunt dla nowej błędnej filozofii, zwanej egzystencjalizmem, który współzawodnicząc z idealizmem i pragmatyzmem, zajmuje się tylko, jak wskazuje jego miano, egzystencją poszczególnych jednostek z pominięciem niezmiennych istot rzeczy. Spotyka się nadto fałszywy historyzm, który ograniczając się wyłącznie do badania faktów życia ludzkiego, podważa podstawy każdej prawdy absolutnej i absolutnego prawa tak w odniesieniu do filozofii jak i dogmatów chrześcijańskich”.

Wyraziwszy radość, że nierzadko zwolennicy dawnego racjonalizmu (chodzi tu o protestantyzm, w danym wypadku o szwajcarskiego teologa K. Bartha) wracają do źródeł prawdy Objawionej, uznając za podstawę teologii Słowo Boże, zawarte w Piśmie św., wyraża Papież zał,

„że wielu z nich im wytrwalej opowiada się za Słowem Bożym, tym bardziej pomniejsza znaczenie rozumu ludzkiego i im gorliwiej wynosi powagę Objawienia Bożego, tym zacieplej pogardza Władzą Nauczycielską Kościoła, przez Chrystusa Pana po to przecież założonego, by chronił i wyjaśniał prawdy objawione.”

Wyszła co dopiero z druku encykliki *Humani Generis* w polskim przekładzie. Stąd tych kilka pobieżnych uwag wstępnych nie fachowca, z zachętą do gruntownego przeczytania i przemyślenia tego dokumentu, może najważniejszego dla życia współczesnego wśród tylu innych, jakie obecnemu Pontyfikatowi zawdzięczamy. Nie może też być dziś lektury zbawiennejszej dla umysłów polskich nad tę encyklikę, która w tylu miejscach podnosi godność i znaczenie rozumu, zdrowego krytycyzmu i roli Urzędu Nauczycielskiego nie tylko jako *Rectoris mundi* na drodze do zbawienia,

*) *Pius XII Papież*: ENCYKLIKA *HUMANI GENERIS* o pewnych fałszywych poglądach zagrażających podstawom nauki katolickiej. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas. Londyn 1951. Cena 1 sh.

ale również prostującego ścieżki prawdziwego postępu myślowego i wiodącego człowieka z grząskiego ewolucjonizmu, fałszywego mistycyzmu i lepkiego intuicjonizmu na pewny, mocny szlak realizmu przyrodzonego i nadprzyrodzonego; z mroku ku światłu.

Kościół nie sprzeciwia się koniecznym zmianom ani w dziedzinie życia kościelnego, ani w teologii ani w filozofii. Nie chce cofać świata, lecz bierze go zawsze w jego całości i wybiera z całości, jak ewangeliczny gospodarz, rzeczy nowe i stare. „Kościół nie obawia się nigdy dyskusyj; czego natomiast boi się, to ignorancji” powiedział Pius X. Niedawno w Rzymie obradował przecież pod hasłem „aggiornamento”: dostosowania do potrzeb czasów i przeprowadzenia zmian, wymaganych przez nową epokę — międzynarodowy kongres zakonów. Ale bogaty w dorobek całej myślicielstwa ludzkości Kościół wie, i uczy, że „jakakolwiek prawdą rozum ludzki jest w stanie zdobyć szczerą i rzetelną pracę, bez wątplenia nie może ona być sprzeczna z prawdą już zdobytą. Bóg bowiem, najwyższa Prawda, stworzył rozum ludzki i kieruje nim nie po to, by przeciwstawiać trwałym osiągnięciom co-

raz to inne nowości, lecz, by usuwając błędy, jakie się mogły zakrawać, rozbudowywał prawdę w jednakowym układzie i strukturze, stanowiącej dostrzegalne podstawy natury, która jest źródłem prawdy”. Wraz ze swym najmłodszym Doktorem Kościół głosi, że „ulubionym tworem Bożym jest rozum” i godzi się z jego zdaniem, że „nie można okazać większej miłości bliźniemu, jak wyprowadzając go z błędu do prawdy”: ale ceniąc rozum, zna jego granice i nie zostawia go bez opieki. Ze względu na swą rolę kierowniczą w życiu i przeznaczeniu człowieka, rozum potrzebuje światła Objawienia i pewnością w jego tłumaczeniu, którą zapewnia Żywy Urząd Nauczycielski. Oprócz tego bowiem co się zmienia i może zmieniać także w Kościele, jest Dziedzictwo nietykalne, niezmiennie już od chwili założenia Kościoła przez Zbawiciela; Dziedzictwo, które bez względu na miejsce, czas i okoliczności odpowiada w pełni wszelkim potrzebom rodzaju ludzkiego. Tego nienaruszalnego i nie podlegającego zmianom Dziedzictwa broni encyklika „*Humani Generis*”. To jest myśl przewodnia tego dokumentu i jego główna nauka

Jan Tokarski

WOJCIECH ZALESKI

NIEMCY WSPÓŁCZESNE III

SOCJALIŚCI SZUKAJĄ PROGRAMU

PRZYSTĘPUJĄC do omawiania ewolucji socjalizmu niemieckiego trzeba przede wszystkim stwierdzić, że jest on w nieszczególniejszej sytuacji wobec zawodu, jaki partia sprawiła w kilku decydujących momentach historii Niemiec, zaczynając od historii republiki weimarskiej poprzez kapitulację przed Hitlerem aż do fiaska pierwszych początków politycznych i gospodarczych po wojnie. Poza tym socjalistom niemieckim trudno znaleźć odpowiedź na pytanie, stojące przed wszystkimi ruchami socjaldemokratycznymi na świecie w rzeczywistości od bardzo dawna, ale ostatnio szczególnie w ostrej formie: jak pogodzić wolność człowieka z zasadą planowania?

Trzeba się odciąć od metod planowania socjalistycznego, stosowanych w państwach stojących pod władzą komunizmu, ale zarazem trzeba konkretnie wskazać jakie metody planowania mają być stosowane! Wiadomo, że na to pytanie trudno by znaleźć odpowiedź u Marksa, który raczej oczekiwał, że sama ewolucja ustrojowa doprowadzi do wytworzenia form właściwych, a nie próbował wskazywać konkretnych form ustrojowych, co właśnie pozwala tak różnym odłamom socjalistycznym powoływać się na wspólnego mistrza.

Na ogół oficjalny socjalizm nie zdobywa się na poważniejsze próby szukania nowych rozwiązań, choć jest widoczne, że podlega ewolucji, rozpoczętej jeszcze za czasów pierwszych rewizjonistów. Wyraża się ona w mniej lub więcej otwartym odstępowaniu od ścisłej doktryny materializmu historycznego, na „humanizowaniu” socjalizmu (niektórzy nawet nie boją się jego „chrystianizowania”), a w dziedzinie praktycznych programów w rozszerzaniu zakresu dopuszczalnej własności prywatnej nie tylko w rolnictwie, lecz również i w przemyśle.

Praktycznie socjaliści prowadzą bieżącą obronę interesów robotniczych przez związki zawodowe, a w zakresie ustrojowym walczą o prawo współdecydowania robotników w zarządzie przedsiębiorstw. W tym, aktualnym dziś u Niemców zagadnieniu wchodzi na drogę, która bardzo łatwo może doprowadzić do ewolucji w kierunku managerów. W toczonej się walce o przepisy ustawy, regulującej prawo współdecydowania robotników, chodzi im nie tylko o rozszerzenie praw robotników, skupionych w radach załogowych, lecz również o dopusz-

czenie do prawa współdecydowania działaczy związków zawodowych s p o z a poszczególnych przedsiębiorstw.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: działacze związkowi zasiadają w takich czy innych ciałach współdecydujących o losach wielu przedsiębiorstw, należących do różnych osób. Musi to automatycznie doprowadzić do silniejszego zwracania strony kapitałowej i podnieci tendencję do regulowania rynku, co jak wiadomo, przełumaczone na język polski oznacza wyżysk spóżywców, względnie rozbój na prostej drodze.

Specjalne stanowisko w socjalizmie niemieckim zajmuje pismo „*Frankfurter Hefte*”. Jego dwaj redaktorzy, Dirks i Kogon, przyznają się nie tylko do chrześcijaństwa ale i do katolicyzmu, a poza tym uważają się za socjalistów. Jest to jednak szczególny socjalizm rezygnacji, tak charakterystyczny dla wielu ekonomistów współczesnych. Wyraża się to najlepiej w takim powiedzeniu Dirksa: „Szkoda wolności gospodarczej, była ona tak bardzo europejska — ale nie możemy sobie na nią więcej pozwolić”.

Droga do socjalizmu wolności, jak określają swój program publicyści z *Frankfurter Hefte*, ma polegać na socjalizacji przedsiębiorstw przemysłowych, przy czym socjalizacja nie powinna prowadzić do centralizacji, a ma polegać na wyborze władz przedsiębiorstw przez pracowników. Z jednej strony jest to wyjście o wiele trudniejsze i ryzykowniejsze od socjalizacji przez wprowadzenie państwowego zarządu biurokratycznego i zcentralizowanego, z drugiej strony jednak niebezpieczeństwo powstania rządów managerskich i zastąpienia kapitalizmu prywatnego przez kapitalizm państwowy, zupełnie jak w Rosji Sowieckiej, jest tu mniejsze. Przy takim rozwiązaniu sprawy przemysłów kluczowych (górnictwo), jak we Francji i w Anglii, niebezpieczeństwo to jest wielkie.

Co więcej według projektów „wolnościowych socjalistów” przedsiębiorstwa uspołecznione mają być samodzielne, to znaczy nie podlegające ogólnopaństwowemu zarządowi, oraz mają współzawodniczyć zarówno między sobą, jak i z przedsiębiorstwami nieuspołecznionymi.

Jednakże całokształt działalności gospodarczej ma być planowany, z tym że samo planowanie ma być zcentralizowane, a wykonanie planów ma być zapewnione metodami pośrednimi, to znaczy przez system podatkowy, a przede wszystkim

przez politykę kredytową, to znaczy przez kierowanie rozdziałem kredytów inwestycyjnych. (Kogon w jednym ze swoich artykułów pisze o „polityce odsetek” — ale jak wiadomo, w najbardziej wolnokonkurencyjnym systemie musi istnieć polityka regulowania stopy procentowej przez bank emisyjny).

Znany ekonomista niemiecki Adolf Weber, określa swój program również jako „socjalizm wolnościowy”. Podobnie jak Kogon pragnie on wprowadzenia robotników do zarządów uspołecznionych przedsiębiorstw w pewnej kombinacji z centralnym zarządem powierniczym kapitału uspołecznionych przedsiębiorstw. Wolnościowy socjalizm Webera jest mniej wolnościowy niż socjalizm Kogona, sprzyja w większym stopniu centralizacji.

Wprawdzie Weber chce zachować „inicjatywę i samodzielność działania” uspołecznionych przedsiębiorstw, ale pragnie to osiągnąć w sposób dość dziwny przez... kontrolę zarządów uspołecznionych przedsiębiorstw przez sądy. — Trudno oczywiście pogodzić nasze dotychczasowe pojęcie o roli sądów z projektem obarczenia ich tego rodzaju zadaniem.

Program Webera jest na ogół dość mętny, ale mimo to stanowi pewien przyczynek do postawienia problemu socjalizacji na innej płaszczyźnie niż szablony upaństwowiaczy. Największa niejasność programu polega jednak na tym, że Weber określa jako cel przedsiębiorstw nie maximum zysku, lecz „najwyższą wytwórczość przy zachowaniu zdolności konkurencyjnej” ale zupełnie nie wiadomo jak ten cel ma być osiągnięty.

Znamienne jest, że mimo przyjęcia w zasadzie postulatu planowania państwowego przez „socjalistów wolnościowych”, a zasady wolnego współzawodniczenia przez szkołę neoliberalną, oba kierunki odczuwają pewną niechęć do centralizmu, czyli systemu managerów. Oba też w mniejszym lub większym stopniu wykazują zainteresowanie zagadnieniem struktury przedsiębiorstw i roli robotnika.

Można zauważyć w tej zbieżności jakoby początek przesuwania dyskusji lewica — prawica, czy też dyskusji socjalizm — kapitalizm na nieco inną płaszczyznę.

Są kierunki centralistyczne, propagujące system komendy managerów i kierunki decentralistyczne, propagujące poddanie managerów kontroli bądź przez aparat państwo-

wy, czuwający nad usuwaniem niebezpieczeństwa przemocy gospodarczej, bądź niejako oddolnie, przez samorząd przedsiębiorstw przy udziale pracowników.

Kwestia tytułów własności przedsiębiorstw schodzi przy tym na plan drugi. Różnice między kapitalizmem prywatnym, a kapitalizmem państwowym nie są tak wielkie, jak się pozornie wydaje.

Między neosocjalistami, a neoliberalami podobieństwo polega na tym, że jedni i drudzy zrazili się do nadmiernej centralizacji ze wszystkimi jej następstwami społecznymi, ale różnica polega na tym, że jedni dla usunięcia centralizacji chcą reformować metody planowania, drudzy metody zabezpieczenia rzeczywistego współzawodniczenia.

Wojciech Zaleski

ETIENNE GILSON PRZESIEDLIŁ SIĘ DO AMERYKI

Wybitny francuski historyk filozofii średniowiecznej Etienne Gilson, o którym pisaliśmy niedawno w artykule sprawozdawczym o „Myśli katolickiej we Francji”, podał się do dymisji ze stanowiska profesora Collège de France (fakt ten ogłoszony został w „*Journal officiel*” z d. 11 stycznia rb.) i przesiedlił się do Kanady.

Gilson od dłuższego czasu, w artykułach i odczytach, wygłaszał poglądy, że w razie wybuchu wojny, którą uważa za bliską, Francja zostanie w ciągu bardzo krótkiego czasu okupowana przez Armię Czerwoną i że pomoc Stanów Zjednoczonych dla Francji będzie niezbyt duża, a w każdym razie nie będzie mogła faktowi temu zapobiec. Gilson wypowiedział się więc za neutralnością Francji w wojnie sowiecko-amerykańskiej. Sam przyznał, że przenosi się do Ameryki, gdyż nie jest skłonny żyć pod nową okupacją.

Tak przynajmniej twierdzi profesor amerykańskiego uniwersytetu de Notre-Dame, Waldemar Gurian w liście otwartym do Gilsona, który ukazał się w „*Figaro Littéraire*” z d. 27 stycznia rb. W liście tym Gurian zarzuca Gilsonowi, że wygłosił na Uniwersytecie de Notre-Dame szereg znakomitych wykładów o „Dunsie Scotcie, ale równocześnie „propagował ponurą ewangelicę defetyzmu”. Gurian polemizuje ze stanowiskiem Gilsona i wyraża w zakończeniu listu nadzieję, że porzuci on swą „kampanię rozpacz i oskarżeń”, znajdując na jej miejsce słowa „odwagi i zrozumienia”.

„Le Figaro” od pewnego już czasu atakował Gilsona za jego propagandę „neutralizmu”. Pismo zażądało, czy Gilson, porzucając swą katedrę w Collège de France, zrzekł się także godności członka Akademii Francuskiej.

Nakładem Veritas F.P.C.

wyszła

w tłumaczeniu polskim

ENCYKLIKA PIUSA XII

„**HUMANI GENERIS**”

jeden z najważniejszych dokumentów obecnego Pontyfikatu, mówiący o bezdrożach współczesnej myśli filozoficznej i teologicznej i o zdrowych środkach zaradczych.

Cena 1 sh

Do nabycia

w Veritas F. P. Centre
12 Praed Mews, London, W.2

AUGUSTYN STEFFEN

CZY KOPERNIK MÓWIŁ PO POLSKU?

DOTYCZĄC, na kontynencie i gdzie indziej, słyszeliśmy pytanie: „Czy Kopernik był Polakiem”? Niekiedy starali się odpowiedzieć na pytanie: „Czy Kopernik mówił po polsku”? Można też, idąc dalej, postawić pytanie: Czy Kopernik pisał po polsku?

Kopernik, o czym nie wszyscy wiedzą, napisał na marginesie książeczki „Calendarium magistri Joannis de Monte Regio” dwukrotnie słowa: „Bok pomagay”. Książeczkę tę znalazł po pierwszej wojnie światowej w Upsali w Szwecji prof. Ludwik Antoni Birkenmajer. Wymienione słowa są, jak się zdaje, jedynym śladem pisma polskiego Kopernika. Skąd one pochodzą i co oznaczają — oto pytanie, na które postanowiłem odpowiedzieć.

Najpierw przywiodę kilka danych z życia Kopernika, bez których niepodobna ruszyć z miejsca. Urodził się on w Toruniu, gdzie spędził dziecięce lata, następnie, po śmierci ojca, jako chłopak 10 letni udał się do Włocławka, do swojego wujka kanonika Łukasza Watzelroda, i chował się pod jego opieką i matki do 16 roku życia. W roku 1491, jako 18 letni młodzieniec, zapisał się na Uniwersytet Jagielloński.

Miał on, jak widzimy, rzadką okazję poznania w dzieciństwie i latach szkolnych różnej wymowy języka polskiego: pomorskiej, kujawskiej i małopolskiej. Później przysłała jeszcze jedna okazja: Kopernik zetknął się z językiem polskim Warmiaków.

Jeszcze przed wyjazdem do Krakowa, w roku 1489, kanonik Watzelrod został biskupem warmińskim. Wiadomo, że w ciągu dwóch następujących lat, tj. w r. 1490 i 1491, Kopernik odwiedzał wujka na Warmii. Stolicą biskupa był wtedy Lipcark, położony w tej części Warmii, która była skolonizowana elementem niemieckim. Kapituła zaś warmijska znajdowała się w Fromborku. W roku 1497 Kopernik zostaje kanonikiem teże kapituły mieszczącej kilka lat w Fromborku. Potem wyjeżdża do Włoch, uzyskuje w roku 1503 doktorat prawa kościelnego w Ferrarze i wraca na Warmię. W roku 1507 wyjeżdża do Włoch po raz drugi.

Administracja księstwa warmijskiego podzielona była między biskupa i kapitułę. Biskup zarządzał północną częścią Warmii, kapituła południową. W roku 1516 spotkał Kopernika zaszczyt: został on namiestnikiem (administratorem) południowej Warmii z ramienia kapituły. Przeprowadził się do Olsztyna, gdzie rezydował na zamku krzyżackim. W roku 1519 wrócił do Fromborka, w następnym roku znowu administratorem w Olsztynie i mieszkał tam do roku 1523.

Olsztyn i jego okolice, tj. cały powiat olsztyński i większa część powiatu reszelskiego, zamieszkałe były przez ludność polską. Kopernik obracał się przez 6 lat wśród ludności, której polszczyzna różniła się od typów wymowy, poznanych przez niego przed ukończeniem studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ale co oznaczają słowa „Bok pomagay”? Nie ulega wątpliwości, że mamy tutaj do czynienia z pewną formułką pozdrawiania. Na polskim obszarze językowym istnieją pewne okolice gdzie pracujących w polu pozdrawia się słowami „Boże pomagaj”. Ten typ „Boże pomagaj” jest charakterystyczny dla Warmii. Wszyscy tam pozdrawiają w ten sposób pracujących w polu. To nie był tylko zwyczaj, ale coś więcej — to była powinność, obowiązek. Germanizacja w latach przedwojennych postępowała tam z zawrotną szybkością, przepadło dużo polskich zwyczajów, lecz pozdrowienie „Boże pomagaj” zostało.

Nie posiadam dobrych danych z najbliższego sąsiedztwa, z Ziemi Malborskiej, ale przypuszczać należy, że obszar ten posiadał ten sam typ, co Warmia, bo i Ziemia Lubawska ma „Boże pomagaj” i ten trójkątny obszar po lewej stronie Wisły z miastami Tczew, Gniew i Starogard, który powszechnie nazywają Kociewiem. Niepodobna więc

przypuszczać, aby w worku malborskim ludzie pozdrawiali się inaczej. Sporadycznie występuje typ „Boże pomagaj” nawet na Kaszubach, np. w okolicy Kartuz, ale już gdzie indziej panuje inny typ, typ pokorski.

Poza wymienionymi obszarami panują typy następujące: w okolicy Torunia przeważa „Panie Boże dopomóż”, koło Grudziądza „Szczęść Panie Boże”, na Kujawach „Dopomóż Boże”, u ludności protestanckiej na Mazowszu pruskim „Szczęść Boże”.

Ludzie poznawali ludzi po „pozrowionem”, jak by to powiedział mieszkaniec puszczy kurpiowskiej. Jeśli więc z ust nieznanego człowieka padły słowa „Szczęść Boże”, to zniwiarze warmińscy obracali się i po krótkiej naradzie uzgadniali, że ów obcy człowiek jest przypuszczalnie Mazurem lub innym przybyszem.

Kopernik nie wziął słów „Bok pomagay” z gwary toruńskiej, gdzie istniał typ „Panie Boże dopomóż”, ani z gwary kujawskiej, gdzie, jak powiedziałem, istnieje typ „Dopomóż Boże”, ani z Mazowsza pruskiego, gdzie mamy „Szczęść Boże”. Wziął on to z całą pewnością z gwary warmińskiej. Ale for-

mutka jego „Bok pomagay”, jak widzimy, różni się trochę od współczesnej, posiada wołacz „Bok”, który jest równy mianownikowi. Zjawisko to jednak nie niepokoi wobec faktu, że na pozdrowienie „Boże pomagay” Warmiak odpowiada słowami „Bóg zapłać”, gdzie też mamy mianownik w funkcji wołacza. Zdaje się, że za czasów Kopernika mówiono tam nie tylko „Bóg zapłać”, ale i „Bóg pomagaj”.

Z Warmii zatem, a nie skąd inąd, pochodzą słowa Kopernika „Bok pomagay” i na Warmii zostały napisane. Występują one pod rokiem 1505. My wiemy z całą pewnością, że Kopernik wtedy na Warmii przebywał. Było to między jego pierwszym i drugim wyjazdem do Włoch, a na 10 lat przed jego przeprowadzką do Olsztyna. Pozdrowienie „Bóg pomagaj” było dla niego nowością, taką samą nowością, jaką były słowa „Szczęść Boże” dla zniwiarzy warmińskich, dlatego dla pamięci czy innych względów zapisał je na marginesie wymienionej książeczki.

Gdzie Kopernik usłyszał te słowa, w mieście czy na wsi? Przyjąć należy, że na wsi, bo w miastach ludzie nie pozdrawiali się w

taki sposób, a przynajmniej nie mieli ku temu okazji. Ale błędem byłoby sądzić, że je na wsi zapisał. Nie miał on przy sobie wiecznego pióra, zapisał więc w domu, z pamięci.

Językoznawca, przeglądający spuściznę Kopernika, nabiera przekonania, że interesowały go wybitne kwestie językowe. Kopernika nie tylko interesował język ogólnopolski, ale, jak widać z jego zapisów „Bok pomagay”, także regionalne zjawiska polszczyzny. Gdyby nie mówił po polsku, nie wysłano by go do Olsztyna, gdzie mieszkała ludność polska; gdyby nie znał języka polskiego, nie zastępowałby kapituły warmińskiej na sejmach w latach 1522 - 1527.

U ust pewnej osoby usłyszałem kiedyś takie zdanie: „Kopernik nie umiał pisać po polsku, bo wyraz „Bóg” zapisał błędnie przez „k”. Owszem, z punktu widzenia dzisiejszego stanu pisowni wygląda to na błąd, ale czy to było błędem w jego czasach, jest pytaniem. Gdybyśmy nawet mieli do czynienia z błędem, to powinniśmy powiedzieć: dzięki Bogu, że go Kopernik popełnił, gdyż właśnie na tym błędzie można wykazać, że nie tylko znał

JAN BIELATOWICZ

NOWE KSIĄŻKI

LITERACKA PRAWDA O WRZEŚNIU

ZUPEŁNIE nieoczekiwanie przyznano zeszłoroczną Nagrodę Młodych w ramach Katolickich Nagród Literackich. Podzielono ją mianowicie między pisarza znanego i głośnego oraz autora nieznanego, który nadesłał do oceny rękopis pierwszej w swym życiu książki; między Tadeusza Nowakowskiego i Edmunda Różyckiego. Dziś dopiero, po blisko roku, wydana drukiem „Opowieść o Wrześniu” p.t. „Obrachunek włodarzy” pozwala sprawdzić, jaki i o ile słuszny był powód niespodziewanego literackiego wyroku.

Nie wydaje się słusznym przydzielanie autorom nagród za pierwsze ich dzieła w życiu, o ile nie są to dzieła bezspornie wybitne. Niemniej „Obrachunek włodarzy” jest nieprzeciętną pozycją wydawniczą. Jest to książka pożyteczna, sprawiedliwa, oryginalna, ciekawa i wcale dobrze napisana.

Aczkolwiek każdy prawie Polak uważa się za urodzonego żołnierza, a jeśli nigdy nie nosił munduru, to w każdym razie za rycerza i chociaż każdy ma w zanadrzu bujny romans wojenny, przecież mimo to nie posiadamy do tej pory poważniejszej polskiej pozycji belewistycznej o ostatniej wojnie — autorstwa autentycznego żołnierza. Nie posiadamy w każdym razie powieści wojennej, jeśli nie liczyć na pół publicystycznej książki Ksawerego Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narwik”. Istnieje natomiast sporo nowel i opowiadań o tematyce wojennej ze słiznym zbiorkiem „Z kraju milczenia” Wojciecha Zukrowskiego na czele. Jak dotąd, najlepsze dzieła o tematyce wojennej wyszły spod piór nie-żołnierzy (Kazimierz Wierzyński „Pobojowisko”, Melchior Wańkowicz „Wrześniowym szlakiem” i „Monte Cassino”, Arkady Fiedler „Dywizjon 303”, Jan Dobraczyński „W rozwalonym domu”).

Do dzieł literackich mających przynajmniej częściowo za temat kampanię wrześniową niewiele już można dorzucić: „Szekspira” Adolfa Rudnickiego, „Najeźdźców” Dobraczyńskiego, opowiadanie o lotnikach Janusza Meissnera, „Węzły życia” Z. Nałkowskiej. W pewnym stopniu charakter literacki posiadają również: zbiór opowiadań „Wrześniowym szlakiem” Zygmunta Bohusza Szyszko, pamiętni-

ki Adama Eplera o gen. Klebergu p.t. „Ostatni żołnierz kampanii 1939 roku” (a więc nie wrześniowej) oraz zgrabnie napisane i wydane na Węgrzech opowiadanie Orzona „Luna nad Warszawą”. Wszystkie te dzieła — za wyjątkiem wyraźnie paszkwilanckiego „Września” w „Szekspirze” Rudnickiego i rozdartych między paszkwil a podziw „Węzłów życia” — przepojone są tradycyjnym polskim romantyzmem, Sienkiewiczem i samouielbieniem. Pełnej literackiej prawdy o Wrześniu nie powiedział dotąd nikt. (Są oczywiście znakomite w swym realizmie fragmenty, jak „Westerplatte” Wańkowicza, które jest ujęciem, lecz niemal dosłowną relacją jednego z największych bohaterów kampanii wrześniowej, majora Henryka Sucharskiego).

Otóż właśnie taką ambitną próbą wypowiedzenia pełnej prawdy o Wrześniu jest „Obrachunek włodarzy” Edmunda Różyckiego. Nie jest to dzieło literackiej rasy. Posiada jednak literacki kolor. Mało jest szluzniejszych powieści ponad to, iż każdy człowiek może napisać co najmniej jedną dobrą książkę: szczerą opowieść o swoim życiu. Różyckiego „Obrachunek włodarzy” jest to prawie autobiografia. Dodać trzeba odrazu, iż w bardzo etycznym gatunku i dobrym smaku.

„Obrachunek włodarzy” posiada tony, przypominające najlepszą literaturę, posiada też nutki najprymitywniejszych instrumentów. Swoją barwną opowieść wojenną oparł autor w złoczone ramy. Sądził, że tak będzie ładniej. Wykazał tym niestety brak głębszego talentu literackiego. Rama z przodu książki, to popis literacki — animistyczny opis Lasu-sprzymierzeńca (przez duże L). Pierwszy odrazu ton, pierwsze zdanie książki jest fałszywe: „Bruchowicki Las zamarł w osłupieniu.” Tylna rama, z lepsze go drzewa, ale również haniebnie wyzłocona, to wykład ideowy. Jest to credo moralne, polityczne i patriotyczne. Za wiele tego, jak na skromną opowieść i przesadnie za wiele, jak na wypowiedzianą moralną chorowitą gaździnkę spod Muszyny.

W te niegustowne ramy oprawiony jest ciekawy i dobry obraz.

Autorem powieści jest dyplomowany oficer sztabowy. Rzemiosło wojacki zna on wyśmienicie i aż miło przeczytać nareszcie książkę, w której czolgi nie wylatują w powietrze, pojedynczy żołnierz nie niszczy bagnietem batalionów, kawaleria nie szarżuje z lancami, żoł-

język polski, a nie umiał także po polsku pisać.

Jak napisałby Kopernik ten wyraz, gdyby nie znał języka polskiego? U Helmolda, kronikarza niemieckiego z XII wieku, o którym Aleksander Brückner powiedział, że nie umiał ani słowa po polsku, mamy słowo „Zerneboch”, nazwę pewnego bożka Słowian zaodrzańskich. Kronikarz ten pisze: „Słowianie wierzą, że powodzeniem kieruje Bóg dobry, a niepowodzeniem bóg zły, dlatego też zły bóg nazywa się u nich Zerneboch, tj. czarny bóg”. Helmold pisze po łacinie i dźwięki słowiańskie oddaje znakami alfabetu łacińskiego. Dla dźwięku „k” alfabet łaciński posiadał „c”, więc pod słowiańskie „k” („g” w wygłosie wymawiało się bezdźwięcznie) podstawił łacińskie „c”. Końcówce „h” nie wymawiało się, końcówkę zatem należy „-bok” a nie „-boch”. Otóż w taki sam sposób napisałby ten wyraz Kopernik, gdyby po polsku nie pisał, gdyby nie znał pisowni polskiej. Helmold, jak widzieliśmy, używał łacińskiego „k” (tj. „c”), Kopernik zaś posługiwał się „k” polskim.

Dlaczego Kopernik nie napisał naszego wyrazu przez „g”? Na to pytanie odpowiedzieć mogę przykładami. W „Kazaniach Świętokrzyskich”, które są zabytkiem z drugiej połowy XIV wieku, występuje wyraz „ubogi”, pisany przez „k” i to dwa razy na jednej stronie. W „Kazaniach Gnieźnieńskich” powtarza się na pewnej stronie wyraz „kdyż”, pisany przez „k”, a prócz tego znaleźć można tam wyraz „pod” i „śród”, pisane przez „th”. Co więcej, w najdawniejszym utworze literackim, wierszu o „Chlebowym stole”, pochodzącym z pierwszej połowy XV wieku, mamy taki rym:

i k temu mięsa i chlepek
i wiele jnych potrzeb

z wyrazem „chleb”, pisany przez „p”, chociaż litera „b” aż się prosi, bo mamy do czynienia z rymem. Ponadto autor ten rymuje „miód” i „wrzód”, pisząc „wrzoth”, przez „th”.

Jak widzimy, w XV wieku ludzie nie przejmowali się zbytnio takimi sprawami. Jeśli zaś nie przejmowali się ci, co stale krzyczeli się koło ołtarza Polski, koło Krakowa i Akademii Krakowskiej, to dlaczego miałby się przejmować Kopernik, żyjący i piszący na peryferiach polskiego obszaru językowego? Przecież zapiski swojej nie przygotował on do druku. Druków polskich wtedy jeszcze nie było. Pierwsze druki polskie „Raj duszny”, i „Powieść o Papięzu Urbanie”, ukazują się w roku 1514, a więc w 9 lat po dokonaniu o-mawianej zapiski, potem, w roku 1522, wychodzą „Ogródki duszne” i „Żywoty Pana Jezu Krysta”, później inne rzeczy. To, co najbardziej uderza w tych pierwszych drukach polskich, to niekonsekwencja pisowni. Pisownia nie jest ustalona, jeden drukarz używa takiego systemu, drugi takiego. Rzeczy te zaczynają się prostować dopiero w połowie XVI wieku, po śmierci Kopernika.

Człowieka i to, co człowiek zrobił, należy oceniać na tle epoki, w której żył i działał. Powiedział kiedyś Pliniusz starszy, że błędy pisarzy greckich, którzy pomieszały obiekty geograficzne Italii z obiektami innych krajów, maleją wobec faktu, że Grecy nie znali dobrze geografii Europy. I błąd Kopernika, jeśli wolno to nazwać błędem, zmaleje, gdy rozpatrzemy go na tle ówczesnego stanu pisowni.

Aby były dwa grzyby w barszcz, powiem jeszcze, że pisownia „y” w drugim wyrazie, w wyrazie „pomagay”, też jest cechą ówczesnej pisowni polskiej. „y” służyło za znak dla „j” na końcu wyrazu lub w środku przed spółgłoską, stąd nazwisko „Rey”, pisane przez „y”, i stąd istniejący do dziś dnia zwyczaj pisania przez „y” nazwisk szlacheckich, jak Zamoyski, Rogoyski itp. Język łaciński nie używał tego znaku, chyba dla wyrazów pochodzenia greckiego.

(Dokończenie na str. 8)

Augustyn Steffen

*) Edmund Różycki OBRACHUNEK WŁODARZY. Opowieść o Wrześniu. Londyn 1951. Nakładem „Atlas Publishers and Distributors”. Okładkę projektował St. Gliwa. Stron 222.

ADALBERTUS

KORRESPONDENCJA WŁASNA Z AUSTRALII

WSZYSTKIEMU WINIEN COOK

Jasne, że tak. Bo co mi to dziś za kraj — ta Australia? Marne o siem milionów ludzi — mniej niż w Londynie z przedmieściami. I poco ten niewykarczowany las, czyli po tutejszemu „busz”? Poco tyle nieużytków? Czemu tak mało fabryk? Nawet papier sprowadzają z Finlandii... Chcesz stawić chałupę, to nie dostaniesz cegły. Bo gdzie te cegły wypalać? W tych malutkich piecykach, w dodatku starych jak pierwszy model lokomotywy?

Jasne. Wszystkiemu winien Cook. Zamiast odkryć Australię przed Ameryką, zamarudził — dzielny zresztą marynarz — dobrych kilka wieków i wylądował w Botanicznej Zatoce dopiero w roku 1770. Został kangury i kędzierzawych czarnoludów... I jak się tu kraj miał za te 180 lat porządnie rozbudować? A teraz cierp, biedny emigrancie!

TYLKO MI CIĘ ZAL, TY ZIEMIO...

Na Boże Narodzenie radio wycisnęło ludziom łez a łez. I to nie dzieciom (co dzieci wiedzą?) i nie tylko „mdlemu i ku wszelkim słabościom natomnemu” rodzajowi niewieściemu. Płakały twarde chłopcy. Nie płakał chyba ten, kto zawczasu i naumyślnie „zalał robaka” sumienia.

To się tak zebrały całoroczne żale i smutki. Bo nie było to jak u nas! Jak pola — to pola! Pszeniczką obsiane, kończyną rumiane i rzędami ziemniaków strojone. Jak las — to las! Hej, gdzie tu takie gładkie smreki, gdzie takie smukłe jedle, gdzie te buki karpackie? Gdzie lipy rozłożyste, gdzie dęby wielgachne? Gdzie te białopienne brzeziny, co się tak cudnie czerwienią pod jesień? Albo te pachnące czeremchy? A nasze góry, Boże ty mój, nasze góry...

Tu nie życie. Co mi to za Boże Narodzenie bez siarczystego mrozu, bez skrzypiącego śniegu, bez okiści na jodłach i smrekach? Co to za wiosna bez pachnących fiołków? Co tu zresztą w Australii pachnie? Nawet te różę jakżeś mdle i tępe. Jak papierowe.

I tak bez końca. Nic ludzi nie cieszy. Reszta dopienia tęsknota za bliskimi, obawa o braci i siostry. Listów z Kraju mało. I prawie wszystkie o „pogodzie”.

— Niech się tylko odmieni, a na drugi dzień już mnie tu nie ma, w tym kangurzym kraju... Wolę pod biedną strzechę.

I niezłomnie wszyscy wierzą, że się odmieni. Musi się odmienić. Choćby dlatego, że ten kangurzy kraj... nie życie!

CHLEB I SERCE

Wszystko się streszcza w tym jednym powiedzeniu: *co mi z tego, że zarobię?* Bo zarobki niele. Australijski funt traci zwolna, ale stale, na wartości, mimo to jednak za tygodniową wypłatę można dobrze zjeść, a za kilka tygodni ubrać się jak na wesele. Kto umie żyć, może za rok odłożyć sumkę kilkuset funtów. Gdzieby o takich zarobkach mógł robić robotnik w przedwojennej Polsce? I opieka w razie choroby jest i miejsce w szpitalu się znajduje. I kupić jest co — sklepy zawalone.

Nie samym chlebem żyje człowiek. Ewangeliczna to prawda. I tak już jest, że te dobre zarobki nie przynoszą wiele uciechy.

MĄŻ TU, A ŻONA TAM

Kiwali ludziska głowami, gdy usłyszeli kiedyś z amatorskiej sceny piosenkę „Gołębiarka” w sztuce „Śluby rybackie” — o skutkach: „gdy mąż tam, a żona tu”... To jest emigrancki „ból bólu”. Na skutek braku mieszkań w okolicach wielkich miast, władze umieściły w podmiejskich hostelach tylko mężczyzn lub też tylko bezdzietne mał-

żeństwa. A gdzie żona z dziećmi? W osobnych obozach dla kobiet z dziećmi. Tylko że te obozy nie o miłą i nie o dwie. Do niejednego obozu kobiecego musi mąż jechać koleją aż 12 godzin, jeśli chce jako tako podtrzymywać rodzinną jedność.

Czemu się tak stało? Po prostu ze względów oszczędnościowych. Rząd rozporządzał gotowymi obozami wojskowymi. Po wojnie obozy pustoszały. Poco było budować dla żon i dzieci obozy w pobliżu miast, kiedy wystarczą małe przetrzebki i już jest miejsce dla tysiąca lub nawet kilku tysięcy istnień ludzkich? Cóż, że to daleko?

Do czego to jednak prowadzi — nie sobie każdy czytelnik sam doświadcza (na melodie: krew nie woda...).

KAŻDY SOBIE...

W australijskich miastach mało jest, tak popularnych w Polsce, bloków mieszkaniowych. Za to na przestrzeniach bez końca — niekończące się szeregi domków rodzinnych. Rzecz jasna, jeśli kto wybudował sobie domek rodzinny, to lokatora nie przyjmie. Gdzie go umieścić? W pokoju jadalnym? W saloniku? I oto kłopot ze znalezieniem mieszkania w miastach. Kłopot drugi jest poważniejszy: choć ludzie mają mieszkania wolne, wolą mieć w domu samolubny spokój. Żyć dla siebie. I żeby takiemu wygodnikowi nic nie zakłóciło ciszy. Więc rodzina z dziećmi mieszkania prawie nigdy nie znajduje. Nie tylko emigrant. Jeden z rozgoryczonych Australijczyków umieścił kiedyś w gazecie zagadkowe ogłoszenie: „Zbrodniarz — z przeszłością kryminalną — poszukuje mieszkania”. Zaintrygowany redaktor pyta go telefonicznie, co to ma znaczyć? I otrzymuje odpowiedź: szukam mieszkania miesiącami. Ale gdy tylko powiedział, że mam dwoje dzieci, to mi zamykano drzwi przed nosem. Widocznie to jest zbrodnia mieć dzieci... Więc napisałem, że zbrodniarz...

NA WŁASNE ŚMIECI

Rzecz jasną, że na kilka tysięcy emigrantów ten i ów znajdzie mieszkanie i dla siebie i dla rodziny, nawet z całym plutonem dzieciarni. Wyjątki zawsze są.

Dla wielu jednak pozostaje jedno wyjście: budować własny dom. Pozywkę długoterminową łatwo było dostać (jako żak gorzej), formalności z tym wszystkim sporo, ale od czego pomysliwość? Tylko na materiał budowlany czekać w „ogonku” — miesiącami. Setki emigrantów już mieszkają we własnych domach lub przynajmniej „garażach”. Setki i tysiące czekają, aż kieszeń jako tako naapecznieje, bo nawet choć jest gdzie pożyczyc, coś trzeba mieć swojego. I tu znowu najgorzej ojcom licznym rodzin: zapłacić hostel za siebie, za żonę, za dzieci, ubierz wszystkich, wydaj na kolej przynajmniej raz na miesiąc, żeby czyiś rodzony dzieci nie zapomnieli (i żona czasem też!) i z całej wypłaty zostanie ci parę szylingów na papierosy.

Czy warto budować, gdyby się co „miało wnet odmienić?”

ŻEŃ SIĘ, JÓZIU, ŻEŃ SIĘ...

Nie mów tego naszym kawalerom w Australii. Ostatecznie nie można powiedzieć, żeby nie czuli „woli Bożej”. Tylko z kim się chłopaki mają żenić? Polek nie przywieźli. A tu na miejscu? Wybór — ponoć jest. Gdy jacyś dwaj emigranci zdobyli nagrody na radiowym konkursie „popularności”, pocztą przyniosła im koło setki zgłoszeń od mniej lub więcej urodziny Australijek. Tylko, że nasi chłopcy mają swoje wymówki:

— Z kangurką mam się żenić?

Wolę od razu na stryczek! Będzie przynajmniej bez bólu. Ożenię się z taką panną i będę za nią garneczki mył i może jej bieliznę prał? Już ja wiem od kolegów australijskich, co te malowane lalki warte... A piegowate lo, że funt pudru na dzień nie starczy...

Rzecz prawie pewna, że jest w tym gadaniu więcej uprzedzenia, niż prawdy, bo jednak kobieta australijska, zwłaszcza w katolickich rodzinach, to pracownica niezrównana. Może tylko w kucharskiej sztuce nie zanadto celuje.

Jak było, tak było: lata jeszcze upłyną, nim się nasza kawalerska wiara pożeni. Tymczasem zmarnują chłopcy masę funtów na alkohol, na motocykle, na głupstwa. Na koncie czekowym rzadko kto z nich co ma. „Poco? A dobrą brygadę zmotoryzowanej kawalerii można by stworzyć z tych szaleńców, co się na motocyklach rozbijają. Bo conajmniej kompania już na tamtym świecie...”

Nie jest dobrze człowiekowi być samemu — mówi Pismo Święte.

INŻYNIER ŁOPACIARZEM

Zapomnieliśmy już o tych czasach powojennych (1920), kiedy się to codziennie w gazetach czytało o „białych” księżniczках rosyjskich, co znalazły posady kelnerek w paryskich knajpach i generałach zarabiających na życie stróżostwem w kamienicach Berlina. Historia się powtarza i teraz nie tylko w Australii nasi rodacy latają ulicę lub miłą butelki, choć niejedni byli kiedyś wysokim urzędnikiem lub znakomitym lekarzem. W Australii wybić się będzie trudno wszystkim obojętym. A na czas tak zwanego kontraktu (dwa lata) łopaciarskie i miollarskie zajęcia jest rzeczą nieuniknioną. Pocięcha przy tym jedna: że na skutek swoistego ustawodawstwa socjalnego i łopaciarz nie źle zarabia. A na skutek nie tyle już ustawodawstwa, ile swoistej polityki związków zawodowych, że narobić się niekoniecznie trzeba. Bo tu „bumelanctwo” jest raczej zaletą, niż przewiną. Spróbuj się wysłać, a dostaniesz „po uszach” od pierwszego lepszego „łącznika” ze związku zawodowego: — Dla kogo się chcesz pocić? Dla angielskich lordów?!

ECHO REMARQUE'A

Głośna swego czasu książka „Na Zachodzie bez zmian” kończy się smutną uwagą o fatalnych skutkach wojny, ciężących na ludziach, którym dane było uniknąć granatów. Emigranci w Australii — a zdaje się nie tylko w Australii — czują i długo czuć jeszcze będą nie do opowiedzenia i określenia skutki wojny, strachu, głodu, poniewierki, kacetowego piekła i powojennej tułaczki.

— Myśmy nie ci dawni ludzie. My sami nie wiemy, co się z nami stało.. powtarzają jeden za drugim. I na prawdę trudno nieraz poznać w naszych rodakach przedwojennych ludzi. Poczucie moralne w wielu albo całkiem zanikło, albo ledwie się da wyczuć. Życie religijne, tak niegdyś żywe w Kraju, dziś na obczyźnie, jak ten ogienek zapalki na wietrze. Na nabożeństwach po kościołach niby się tłumy zbierają, ale większość katolickich emigrantów o przykazaniach kościelnych zapomnieli. Zanikło poczucie tego co wypada, a co nie wypada. I to wieczne narzekanie... Na wszystkich, na wszystko. I zamilowanie do minionej już — darmocho po nieboszczce Unrze i wszystkich odcieniach IRO.

Trzeba powiedzieć na chwałę naszej „wiary”, że się z tych naleciałości zwolna otrząsa. I jeżeli nie odpadnie ostatni ułamek tej powojennej skorupy, to przecież już dziś widać, że z niej niewiele zostanie.

W sam raz na „echo Remarque'a”. Dalekie echo...

MYSLI W NIE-JEDNO OGNISKO

W kilku już miastach australijskich takie czy owakie „zjednoczenia” polskie walczą ze sobą zaciekłe. O wielkie rzeczy i o małe bzdurki. O sprawy ideowe lub też o jakieś osobiste śmieszności. Są raz po raz podejmowane próby zjednoczenia, by się zlepięte ogniwa znów rwały. Jest w tym trochę polityki (za Skarbem Narodowym lub przeciw), jest trochę osobistych ambicji (on ma być prezesem? Ona ma być delegatką?), a nade wszystkim unosi się zaręta mgła ogólnego niedowierzania, podejrziwości i — „dajcie mi spokój — mam dość tego społeczeństwa”...

— Ciężką odpowiedzialność wobec narodowej przyszłości ponoszą ci wszyscy, co zachwiali zaufanie mas. Lata nie odrobą tych wrażeń, jakie wywarły defraudacje w polskich stowarzyszeniach, powstałych na terenie Niemiec. Każda akcja dla dobra wspólnego spotyka teraz lodowatą górę nieufności: „znów się ktoś chce na nas oblowić?”

PIŚMIENICTWO

Tak dobrze, jakby nie istniało. Mizerne zacząłki. To zdaje się choroba całej emigracji (zobacz ile pism już upadło, a ile dogorywa). Australia nie miała silniejszej starej emigracji. Przyływ „nowych” nie przyniósł wielkich pisarzy, nie przywieźli nasi ze sobą ani drukarzy ani drukarni z polską czcionką.

Dopiero w ostatnich miesiącach zaczęło drukować bez polskiej czcionki „Wiadomości Polskie”, Organ Polskiego Towarzystwa Demokratycznego w Sydney. Jest to skromnutki, czterostronicowy tygodnik. Nieco lepiej rusza z miejsca „Echo — Polski Tygodnik Niezależny”, wydawany w Perth. Natomiast bodajże najpoczytniejszy (2.300 egz.) „Tygodnik Katolicki” dotąd nie znalazł drukarni i wychodzi na powielaczku.

Czytelnictwo wzmaga się zwolna, ale co to jest jakieś dwa tysiące nakładu na 40.000 emigrantów? Zraża się jeden za drugim; a to mu cena za wysoka (na piwo wydaje więcej), a to treść za skromna, boć angielskie gazety (nie czyta ich, bo nie umie), podają za mniejsze pieniądze kilkadziesiąt stron... I każdy by chciał, by się życie nasze literackie, dziennikarskie i stowarzyszeniowe perliło przynajmniej takimi skrami, jakimi błyszczy w filmie W. Disney'a kryształowy trzewik Cinderelli... Za dotknięciem różdżki czarodziejskiej!

ISKIERKI

Nie jest jednak całkiem źle. Nawet od tego daleko.

Po pierwsze — mimo przeróżnych braków i narzekania Polacy trzymają się bodajże najlepiej. A było by prawie całkiem dobrze, gdybyśmy nie ciągnęli za sobą sporej gromady przeróżnych „podciępków”. Brzydkie to słowo ze śląskiego słownika, ale nie piękniejsza jest to gromadka ludzi, co nie będąc Polakami legitymują się jako Polacy. Ileż już burd, bitek i — co tu owijać w bawełnę — świnstewek poszło na dziennikarskie szpalty pod „polskim autorstwem”! Ze inni ponoć lepiej zorganizowani, to też bujda, bo ileż razy do nas po radę przychodzą? Ze małe i nikt nie nasze czytelnictwo, to może i fakt, ale czy nie tak jest u innych? — „Za darmo rozsyłamy tygodnik — i nikt tego czytać nie chce” — skarży się do mnie przedstawiciel pewnej słowiańskiej narodowości. Spory wewnętrzne, „elitarny manier”, brak ofiarności i inne przywary są aż nadto widoczne u niejednej innej grupy narodowościowej na emigracji. Nie plamią się nasi ordynarnymi kradzieżami, jak się to dzieje

wśród emigrantów pewnego pobratymczego narodu.

Iskier jest wiele. Przybywa ich z każdym dniem. Może nie zabłyśnie słońcem. Nie to. Wystarczy światło ziemskie.

NA CUDZYM WOZIE

Australijczycy przyznają się sami, że nie są narodem gościnnym. Na piśmie i w rozmowach mówią szczerze, że nie ufają nikomu, co się z obcych krajów przytasyczy.

Raz po raz czyta się i słyszy skargi: czemu ci cudzoziemcy nie mówią po angielsku? Chodzi o to, żeby mówili po angielsku nawet między sobą. Żeby nie było słycać ani na ulicy ani w tramwaju żadnej obcej mowy. Żądanie takie słyszy się od ludzi, których trzeba skądinąd posądzać o pewien stopień wykształcenia (duchowni, inspektor kolejowy, sędzia). Długo trwały debaty na temat pism emigranckich. Ostatecznie stanęło na tym, że wolno je wydawać pod warunkiem, że czwarta część tekstu będzie drukowana po angielsku. I łatwo się narazić władzom, jako że każde pismo emigranckie podlega aż — służbie bezpieczeństwa. Nie dalej, jak kilka dni temu potężna Liga Weteranów (Return Soldiers League) oświadczyła się przeciw jakimkolwiek pismom emigranckim. Czemu? Bo rzekomo opóźniają sprawę asymilacji, czyli — „upodobnienia” a nawet „wchłonięcia” przybyszów w społeczeństwo australijskie. Zasadą bowiem jest: nie dopuścić do utworzenia się grup narodowościowych, jak się to stało w USA.

Asymilację chcieliby ci ludzie przeprowadzić jak najszybciej. Mało ich obchodzi fakt, że ludziom po trzydziestce angielszczyzna nie przychodzi łatwo. Nie pytają, jakie przystosowanie naukowe przyniosą poszczególne emigranci. I chcieliby widzieć wielkie postępy naukowe nawet pod kierunkiem zwyczajnego australijskiego nauczyciela, szpikującego swe lekcje angielskiego terminologią gramatyczną, której połowa uczniów nie rozumie ani trochę, bo nigdy nie służyli o żadnych „objective case” albo „past tense”. Ostatnio dopiero zaczynają kierownicy departamentu wychowania dochodzić do wniosku, że przynajmniej na kilka początkowych miesięcy lepiej dać emigrantom nauczyciela, mówiącego ich własnym językiem. Dotąd bali się, że to zaszkodzi asymilacji.

CZY TYLKO JEZYK?

Najwięcej jednak dokuczają emigrantom asymilacja kuchenna po obozach i hostelach. Komu to potrzebne? Zgaduj, zgadula. W każdym razie jest rozporządzenie, że po hostelach nie wolno inaczej gotować, jak po australijsku. Mięso bez smaku. Jarzyny zagotowane w czystej wodzie bez soli i bez żadnej przyprawki. Obrzydliwość. Ludzie zostawiają całe porcje. Dokupują. Klną. Nie nie pomaga. Musi być asymilacja.

Z tego wynika, że w każdym hostelu nie zasmakujesz polskiego bigosu. Zato mieszanka jest. Narodowościowa.

Różne z tego powodu kłopoty. Bo jak może żyć w zgodzie z Ukraincami Polak, któremu gdzieś koło Lwowa czy Brodów Ukraincy wymordowali rodzinę, gdy on już był w wojsku lub w niewoli niemieckiej? Albo z takimi żołnierzami Własowa, którzy niszczyli Warszawę w tragicznych dniach powstania? Albo z niektórymi Łotyszami, co dla chleba czy nie dla chleba katowali Polaków — jako esmani?

Mieszanka narodowości zabiła po obozach swobodę i szczerłość. Zamykają się ludzie w sobie. Rad by jeden drugiego nie spotykać. Cóż, że ktoś mówi po polsku? Cóż, że z łaski jakiegoś polskiego oficera łączni-

kowego dostał się na listę Polaków i jako taki wyemigrował, skoro się teraz przyzna do polskości tylko wtedy, gdy go policja przyjdzie zabierać za mniejsze lub większe przestępstwo...?

I taki ciężar nałożono na naszych emigrantów dla dobra onejże asymilacji...

PANTOFLARZE

Co byś, Czytelniku, zrobił, gdyby cię własna słuźna małżonka nazywała od czworonogów? Np. Schwein? Schweinhund? Lub Polnische Bande? Jest wśród emigrantów osobna klasa cierpliwców, którzy takie miłe przydomki znoszą cierpliwie, jak baranki. Dzieci takich rodaków nazywają rodziców Vater i Mutter, nie wiedzą, co to jest „dzień dobry”, zato wiedzą, co to jest Guten Tag.

Takie małżonki otrzymały wychowanie w Hitlerjugend. Hasło tam było: unsere Seele dem Teufel, unser Leib den Knaben, unser Leben dem Führer. Polacy byli tam minderwertige Rasse...

Dziś Polacy są rzeczywiście minderwertig. Nie jeden już porzucony, samotny, słomiany pantoflarski wdowiec. Jego Niemka poszła za niego tylko po to, żeby wyjechać za granicę. Jako Polka. Nie miała przyszłości w Niemczech, bo by jej „zaden ucziwy Niemiec nie zechciał po tym, co widział”.

Kogo Pan Bóg chciał pokarać, temu rozum odebrał. Za tyle krzywd, jakie Polacy od Niemiec doznali... brać pierwszą lepszą Niemkę?

W dawnych Niemczech pantoflarza wypędzano ze wsi. Zwyczajnego nieszkodliwego pantoflarza. A co się powinno zrobić z pantoflarzem-re-negatem? Szkoda, że dawne zwyczaje giną.

KONIEC KOŃCÓW?

Jest narzekanie? Jest. Słuszne? I tak i nie.

Tak — bo życie nie jest lekkie. Nie napracują się emigranci tyle, ile pracował przed wojną polski rolnik na chudym utorze. Ale trzeba się przyzwyczajać do wielu nowych rzeczy. Do klimatu. Do pracy. Do zwyczajów. Do praw, przepisów i formalności. Kłopot z językiem. Obcość, tęsknota za krajem. Brak urozmaicenia i życia rodzinnego. Cóż taki emigrant ma robić ze sobą w ostatnie dwa dni tygodnia? Australijczyk idzie na wysięgi konne i pieski. W szczytach nie bawi. Głupota — myśli jeden za drugim. Sport? Kogo z naszych bawi krykieta lub dzikie rugby? Oawiedziny? Od czasu do czasu. Nie ma jeden drugiego nawet gdzie przyjąć. Pozostaje kino i w okresie letnim — plaża. Z rekinami i meduzami. Australijczycy nie mają zwyczaju zapraszać gości. Każdy sobie. Emigranta rzadko kto zaprosi. Brak życia kolorów. Zapachów. Uroku.

Kiedyś jednak przyjdzie zmiana. Już nawet się zaczyna. Jaka zmiana? „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Tak było zawsze. Polubią nasi emigranci nawet to, co dziś przeklinają. Bo wyzdrowieją powoli z powojennej neurozy. Przystanie ich drażnić to, czego dziś nie rozumieją, bo zwolna zrozumieją. Otworzą się im oczy na piękno australijskich przestrzeni, zatok nadmorskich, wiecznie zielonego „buszu”. Zasmakują w klimacie bez wiosennej i jesiennej „pluchy”, zauważą, że mniej się tu kicha i kaszle. Nawet ten brak siarczystych mrozów na Gwiazdkę... Ileż to oszczędza kłopotów z opalaniem mieszkań? Ile wydatków na ciepłe buty i futra? Wyniosą się kiedyś wszyscy z hosteli, większość zdobędzie własny dom, samochód, urządzi się „elektrycznie” i wejdzie w społeczeństwo australijskie. Od czasu do czasu wspomni rodzinną chatę, okolicę, kraj, za który walczył lub cierpiał. I to wszystko. Cook? Mądry chłop! —

Dzieci będą mówić australijskim akcentem. A tylko od rodziców zależy, ile w nich zostanie polskiego ducha.

Bo szkoła nauczy ich tylko: speak English.

Adalbertus

JĘDRZEJ GIERTYCH

MARSZAŁEK MANNERHEIM

MIERC marszałka Mannerheima usiwa z politycznej widowni jedną z najciekawszych i najbardziej godnych podziwu postaci dziejowych naszej epoki. Zmarł dnia 27 stycznia br., po operacji w Lozannie, w wieku lat 84 wódz i mąż stanu Finlandii był najwybitniejszym chyba w dziejach tego kraju człowiekiem, który zdołał losy swego kraju ukształtować w sposób decydujący i trwały. A zarazem, który stał się wzorem człowieka, żołnierza i polityka, jakiego słusznie może Finlandia zazdrościć wiele krajów o zbliżonym do niej położeniu geograficznym.

W roku 1917, gdy w Rosji wybuchła rewolucja, i gdy rewolucja ta ogarnęła i Finlandię, ówczesny generał Mannerheim stał się twórcą i wodzem „białej” armii fińskiej, będącej wyrazem instynktu samozachowawczego i ducha samobrony fińskiego chłopstwa i inteligencji. Na czele tej armii stoczył wcale nie łatwą i nie krótką wojnę domową z komunistyczną „czerwoną” armią fińską. W wojnie tej nie zawahał się skorzystać z ofiarowanej mu pomocy niemieckiej, umiał jednak potem bardzo szybko i zgrabnie od opieki niemieckiej się uwolnić. Czerwoną armię, wspieraną przez Rosję, pobli w bitwach pod Tammerforssem i Wyborgiem, oraz w długotrwałych operacjach typu raczej partyzanckiego, a resztki jej wyparł poza granicę rosyjską. (Autor niniejszych słów miał sposobność widzieć, w komunistycznym Petersburgu w roku 1918, fińskich żołnierzy czerwonych). Żelazną ręką przywrócił w Finlandii ład i — co o wiele trudniejsze — poszanowanie prawa, połączone z duchem pojednania, w którym nie było ani demagogii, ani pierwiastka słabości. Zawarł z Rosją Sowiecką — szybko i bez wahań — pokój, korzystny, bo dający w odstąpieniu przez Rosję fiordzie i porcie Petsamo na murmańskim wybrzeżu dostęp do Oceanu Lodowatego, ale i powściągliwy, bo nie ubiegający się o zdobycze terytorialne w Ingrii i Karelii Wschodniej. W erze współpracy z Niemcami, zgodnie z ogólnym kierunkiem ówczesnej polityki niemieckiej, organizował Finlandię jako królestwo i został w roku 1918 obrany na regenta. Był więc nie tylko wodzem naczelnym, ale i głową państwa. W roku jednak 1919, gdy sytuacja się zmieniła, położył swój podpis pod uchwaloną przez konstytuante konstytucję republikańską.

Zaraz potem wycofał się z polityki i z wojska. W erze powojennej, gdy pokój światowy, w atmosferze hasel wilsonowskich i pod opieką Ligi Narodów wydawał się na długo utrwalony i — tak, jak w Polsce Dmowski, ale nie tak długo, bo tylko lat 12 — pozostawał na boku jako człowiek prywatny. Przymiennie sobie o nim, gdy na horyzoncie zaczęły się gromadzić nowe chmury, zrobiono go w r. 1931 prezesem Narodowej Rady Obrony, mianowano go w r. 1933 feld-marszałkiem.

Marszałek Mannerheim stał się duszą przygotowawczą do narastającej wojny z Rosją. Przygotowania te poczynił w sposób imponujący, w sposób, który Polakowi, przez porównanie, wywołuje na twarzy rumieniec wstydu. Finlandia była w r. 1939 na prawdę „silna, zwarła, gotowa”. Uboży ten kraj — z natury nieskończenie uboższy od Polski, bez bogactw naturalnych, bez wielkiego przemysłu, o bardzo szczupłym, z przyczyn klimatycznych, rolnictwie, — naród drwali, rybaków i mleczarzy, — tyle tylko, że rozumnie, nie po dyletancko i nie po doktrynersku gospodarujący, a mający trzy i pół miliona ludności, dokładnie dziesięć razy mniej, niż Polska, zdobył się na wysiłek wojskowy bodaj, czy nie większy od Polski. W swych przygotowaniach, swych zbrojeniach, Finlandia nie dokonała cudów, — zrobiła to, co było możliwe i na co było ją stać, — ale za to nie wydała ani jednego grosza rozrzutnie i bezzwrotnie, wszystko co zrobiła, zrobiła w sposób celowy, rozumny, przemyślany. Jej budżet zbrojeniowy był, mierząc miarą stosunków światowych, — skromny. Ale przy pomocy budżetu tego, wydawanego systematycznie i w ciągu wielu lat, stworzyła sobie system fortyfikacji na przemyśle wybojskim, znany pod na-

zwą „linią Mannerheima”, stworzyła sobie małe, ale sprawne lotnictwo, broń pancerną, marynarkę (na morzu i na jeziorze Ładoga), własny, skromny przemysł zbrojeniowy, a przede wszystkim wyszereżowaną, liczną, zaciekłą, znakomicie wyszkoloną piechotę; a także i ogromną kobiecą służbę pomocniczą (słynne „Lotta”), która zastąpiła mężczyzn, gdzie tylko to było możliwe i celowe.

Gdy nadeszła fińska „wojna zimowa” (1939 — 40), którą Mannerheim dowodził jako wódz naczelny, Finlandia okazała się zdolna do dnia z siebie najwyższego i najbardziej skutecznego wysiłku. Wysiłek, który zarówno pozwolił jej stawić długotrwały opór, jak wyzyskać wszystkie błędy i słabości przeciwnika i wszystkie szczęśliwe okoliczności. Finlandia została w końcu przez Rosję pobita (czyż mogło być inaczej?), ale nie została zniszczona. Pokój, zawarty w 1940 r., pozabawił ją Wyborga, Hangó i innych ważnych części terytorium, ale nie pozabawił jej niepodległości. W r. 1941, znowu pod wodzą Mannerheima i korzystając z koniunktury, stworzonej przez wybuch wojny sowiecko - niemieckiej, Finlandia mogła podjąć wojnę o rewanz. W zwycięskim pochodzie, — współdziałając z Niemcami, ale bynajmniej nie oddając im się pod komendę, — nie tylko odzyskała „poniesione straty, ale zajęła wschodnią Karelię aż po jezioro Onega.

Marszałek Mannerheim, obrany 4 sierpnia 1944 r. na prezydenta Rzeczypospolitej, umiał jednak w porę ocenić, że wojna nie jest do wygrania — i oderwawszy się od Niemiec, zawrzcć pokój na warunkach nie lepszych, nawet może trochę gorszych, niż w r. 1940, ale zachowujących niepodległość. Zawrzcć jeszcze w r. 1944, to znaczy, gdy wojna była jeszcze w pełnym biegu i gdy daleko było jeszcze do Jałty, a więc gdy Rosja nie była jeszcze całkowitym panem położenia. Dzięki temu pokojowi, będącemu pełnym umiarem zakończeniem wojny nie tylko bohaterkiej, ale jak dotąd zwycięskiej, Finlandia zdobyła sobie pozycję, umożliwiającą jej trwanie po dziś dzień w warunkach bytu, prawdziwie zagrożonego, ale wciąż najzupełniej niepodległego. Również i na nowej, pokojowej drodze pierwszymi krokami Finlandii kierował Mannerheim, zrzekł się bowiem prezydentury — z powodu choroby — dopiero w r. 1946.

Marszałek Mannerheim działał na tym szczeblu, na którym strategia styka się z polityką. Był on więc nie tylko wojskowym, lecz także i politykiem. Był on jednak całkowitym zaprzeczeniem tego,

co określane jest słowami: „politykujący generał”. Ten marszałek, ten wódz, ten żołnierz wycisnął na losach swego kraju piętno niezatarte — a jednak nie było w nim nic z „hetmana”, nic z tego, co pozostawałoby na postawienie analogii między nim, a naszym łańcuchem „hetmanów” lat ostatnich. Nie było w nim, mianowicie, tego pierwiastka wojskowej arbitralności i dyktatorskiej skłonności do nieliczenia się z wolą i opinią narodu, z jego prawem, tradycjami i pionem ideowo - moralnym, które większość „hetmanów” cechują. Nie było w nim skłonności do wdawania się w małosłowne rozgrywki i spory wewnątrz polityczne, do formowania sobie własnej partii, czy koterii, do zwalczania kogokolwiek za to tylko, że jest jego przeciwnikiem, czy rywalem. Nie było ani wygórowanej ambicji, ani pychy, ani mściwości. Była natomiast wielka pokora, poczucie obowiązku i odpowiedzialności, oraz wielki umiar. Była także umiejętność wycucia w porę tego, że się jest w danej chwili niepotrzebnym i wycofanie się bez szemrania — choćby na dwaście lat — do życia prywatnego, będącego rzeczywistą w sprawach politycznych neutralnością.

Czema przypisać, że Mannerheim jest niepodobny do tylu innych, strojnych w rozmaitego typu mundury mężów stanu, jakimi zaroiło się nasze stulecie, — do tych wszystkich Mussolinich, Hitlerów, Goeringów, Peronów, Kemałów czy de Gaulle'ów, żeby pominąć bliższe przykłady? — Przyczyną jest z pewnością wiele. Główną są zapewne jego osobiste zalety moralne i umysłowe, — jego osobista wartość jako człowieka. Obok tego jednak nie bez znaczenia jest szkoła, w jakiej się wychował i styl i właściwości środowiska, do którego należał.

Mannerheim jest w najlepszym znaczeniu tego wyrazu zawodowym wojskowym, — przedstawicielem najlepszych, starych tradycji korpusu oficerskiego. Trochę zapomnieliśmy już dzisiaj, co to jest korpus oficerski: zawodowy oficer dzisiaj, nie tylko w Polsce, to niekoniecznie jest przedstawicielem ideałów, tradycji, pojęć etycznych i honorowych, wreszcie poziomu wykształcenia i kultury tej starej i godnej szacunku korporacji, jaką był korpus oficerski starych armii. Mannerheim nie miał szczęścia wychować się w rodzimej, przechowującej tradycje wojskowe szwedzkie, armii fińskiej: wprowadził ostatnie resztki tej narodowej armii, przypominające swoją odrębnością wojsko Królestwa Kongresowego sprzed roku 1831, zostały skasowane dopiero w latach 1898 — 1901, już jednak w

ostaním ćwierćwieczu dziewiętnastego stulecia armia fińska stopniowo się w wojsku rosyjskim rozplątała. Właśnie jednak z uwagi na związek armii fińskiej z rosyjską — równie ściśle, jak węgierskiej z austriacką, — Finlandzycy z rodzin o tradycjach wojskowych nieraz służyli w wojsku rosyjskim, co nie było karierowiczostwem w obcej służbie, ale przeciwnie wyrazem dążenia do wychowania dla Finlandii kadry wykwalifikowanych wojskowych. Mannerheim służył 28 lat w wojsku carskiej Rosji, — ukończył rosyjski korpus kadetów, był oficerem kawalerzystą w cesarskiej gwardii, stacjonował nawet, na garnizonie, w Warszawie, gdzie utrzymywał zresztą doskonałe stosunki ze społeczeństwem polskim. Ze swych obowiązków zaciągniętych wobec wojska rosyjskiego wywiązał się lojalnie. Brał udział w wojnie rosyjsko - japońskiej. Mimo, że w pierwszej wojnie światowej Finlandia sympatiami swymi skłaniała się raczej ku Niemcom, brał jako rosyjski generał i dowódca korpusu udział w wojnie 1914 — 1917 przeciw Niemcom. Wniósł w życie Finlandii wysokie zalety dowódcy z prawdziwego zdarzenia i o wielkim wojennym doświadczeniu, — wychowanemu w dobrej i uczciwej szkole, jaką rosyjska formacja elitarna, gwardia, niewątpliwie była.

Co więcej, Mannerheim jest nie tylko zawodowym wojskowym w dawnym stylu, ale i człowiekiem prawicy. Ten szwedzki arystokrata, baron Karol Gustaw Emil Mannerheim nie przypomina w niczym tych wszystkich demagogów socjalistycznych i niesocjalistycznych, którzy na Europie dwudziestego stulecia wycisnęli takie silne piętno. Jego polityka — to była klasyczna polityka człowieka prawicy, pełna umiaru, pełna zrozumienia wartości ładu, praworządności i prawa, pełna troski o dobro kraju jako całości, a nie tylko tej czy innej warstwy, czy kliki, oraz o zachowanie ciągłości rozwoju historycznego i tradycji. Nawiasowo mówiąc, w ramach takiej polityki Finlandia wyrosła na państwo o wiele bardziej demokratyczne od państw, na które wpływ wywarli dyktatorzy ex-socjalistyczni. Warto przy okazji wspomnieć, że Mannerheim, choć Finlandczyk, wcale nie jest Finem; i on i drugi wielki fiński mąż stanu, pierwszy prezydent fińskiej republiki Svinhufvud, byli Szwedami, przedstawicielami tej szwedzkiej mniejszości, która liczy w Finlandii tylko niespełna 10 procent ludności, ale reprezentuje elitę kultury. To jest tak, jakby głową państwa i wodzem naczelnym republiki litewskiej byli kościelnicy Polacy. (Finlandia jest urzędowo — jak Szwajcaria, Belgia czy Kanada — krajem dwujęzycznym. Z trzech fińskich uniwersytetów dwa są fińskie, a jeden szwedzki. Ten umiar w potraktowaniu niewielkiej, ale przodującej kulturalnie i reprezentującej tradycje historyczne mniejszości, — umiar także niepodobny do metod np. kowieńskich, — to jest także jedno ze znamion tego stylu, jaki na życiu Finlandii wycisnęli ludzie w rodzaju Mannerheima).

Gdy się myśli o Mannerheimie i o tym czego dokonał, — nasuwa się przy okazji także myśl, jak bardzo nie mają racji ci, co sądzą, że najważniejszą polityką małego państwa jest polityka „myszy pod miotłą”. Gdzie są dziś Benesse i Mikołajczyki, gdzie są owoce ich polityki płaszczenia się przed butem Kremla? Mannerheim, ten były carski generał, ten baron i „obszarnik”, ten organizator „białej gwardii” i pogromca „gwardii czerwonej”, ten wódz naczelny w trzech wojnach z Rosją, ten dwukrotny sojusznik Niemiec, ten przyjaciel Anglii i — zwłaszcza — Ameryki, nie był dla Kremla czerwoną plachtą, nie poszedł na Sybir, ani nie musiał emigrować, a jego pogrzeb w stolicy Finlandii, mimo wszystko wciąż samodzielnej i wolnej, może się odbywać jako manifestacja narodowa. Moskwa ma respekt przed odwagą i siłą — i umie się liczyć z przeciwnikiem, który się jej nie boi i który gotów jest, jak Dawid Goliatowi, stawić jej opór. To tylko odwaga historyczna i bezzwrotna, — taka, jak sprawców naszych nieszczęśliwych powstań — nie budzi szacunku i nie wymusza liczenia się z nią. Męska, będąca dziełem charakteru odwaga, dyktowana rozumem i miarkowana roztropnością, — jest zawsze polityką najlepszą, — zarówno dla wielkiego mocarstwa, jak dla małej Finlandii.

Jędrzej Giertych

HOLENDRZY O JANIEWICZU

Czytelnicy ŻYCIA przypominają sobie zapewne artykuł B. Przeradzkiego o zapomnianym kompozytorze polskim, Feliksie Janiewicz, który czynny był na terenie W. Brytanii w ostatnich latach XVIII i pierwszej połowie XIX stulecia. Tak się złożyło, że niedługo potem rozgłośnią holenderską Hilversum II nadała w jednym ze swych programów muzyki kameralnej suitę Janiewicza na orkiestrę smyczkową, o czym donosiłmi Czytelnikom w specjalnej notatce.

Jeden z przyjaciół naszego pisma w Holandii zwrócił się do kierownictwa rozgłośni Hilversum II z prośbą o bliższe dane, dotyczące tej audycji, przesyłając zarazem odnośny wycinek z ŻYCIA. W odpowiedzi otrzymał od kierownika działu muzycznego rozgłośni uprzejmy list, którego główne ustępy w tłumaczeniu polskim brzmią jak następuje:

„...Divertimento Janiewicza jest pracą uczciwą i piękną w stylu klasycznym. Dla orkiestry smyczkowej zostało ono przerobione przez A. Panufnika w r. 1947 z Six Trios pour deux violons et basse” (Imbault, Paryż), mianowicie z:

1. Allegro moderato z Trio nr. 1.
2. Andante z Trio nr. 2 i
3. Allegro z Trio nr. 1.

„Feliks Janiewicz urodził się w Wilnie w r. 1762. Jako młody skrzypek wyemigrował ze względu na ówczesną sytuację polityczną w Polsce. Pozostał aż do śmierci za granicą; umarł w Edynburgu w r. 1848. Podczas pobytu w Wiedniu zetknął się z Mozartem i Haydnem. Od Haydna uczył się przez jakiś czas kompozycji. W jego muzyce występuje wiele motywów polskich. Współ z J. Kleczyńskim (początek XIX w.), W. Dankowskim i Fr. Lesslem reprezentuje on styl klasyczny w muzyce polskiej”.

Ze swej strony dyrygent orkiestry, która wykonała suitę Janiewicza, p. M. van den Berg, w liście swym pisze:

„Dzieło Janiewicza wykonywałem chętnie. Jest to styl Mozarta — obaj żyli w tym samym czasie. Wykonywałem je trzy razy i za każdym razem wypadło dobrze.

„Z polskich kompozytorów wykonywałem poza tym utwory następujące: Palester: „Nokturn”, Malawski: „Toccata”, Szeligowski: „Epitaphium”.

Od siebie wyrażamy żdziwienie, że jak dotąd nie pojawił się żaden utwór Janiewicza w bogatych i urozmaiconych programach muzycznych B.B.C., choć Janiewicz nie tylko był interesującym kompozytorem, ale i położył duże zasługi około krzewienia kultury muzycznej w Wielkiej Brytanii.

DYSKUSJE

RZECZYWISTOŚĆ CZY UTOPIA?

W NUMERZE 2/186 ŻYCIA z dn. 14 stycznia b.r. p. Tomasz Dobrowolski, w artykule wstępnym p.t. „Żądanie rzeczywistości” rzucił niezwykle śmiało hasła programowe, o charakterze wyraźnie politycznym. Tego wystąpienia nie sposób przemilczeć a nawet było by dużą lekkomyślnością je lekceważyć. Nie dlatego, żeby ono mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie w polityce czy to polskiej, czy światowej, ale dlatego, że, jak sądzę, może ono spowodować dużo szkody w sprawie jednności myśli, tak dość już wątpliwej, wśród rozbitnej ideowo emigracji polskiej.

P. T. Dobrowolski podaje dwa zasadnicze twierdzenia: jedno, że „żadne niemal z piętrzących się przed nami zagadnień... nie może znaleźć rozwiązania w skali innej, niż ogólno-swiatowa, na płaszczyźnie wyższej niż ponad-narodowa” i drugie, że „podejmowane dotychczas próby znalezienia rozwiązań... rozbiły się o ciasny i krótkowzrostny egoizm, że sprawy wspólne dla całej ludzkości... rozgrywane są dalej w imię podwórkowych „racji stanu”. Wobec tego radzi „przejsć do porządku dziennego nad złe pojęciami „interesami narodowymi”, sprowadzającymi się najczęściej do demagogicznych argumentów przedwyborczych — i stworzyć katolicką Międzynarodówkę. Stwierdza, że „najszlachetniejsze nieraz w zamierzeniach wysiłki najlepszych nawet polityków i mężów stanu katolickich, działających na terenie różnych, często sprzecznych niemal ze sobą, politycznych ugrupowań” — nie dokonają tego, czego wymaga chwila i zasady chrześcijańskie. Tylko „działanie solidarne, rozumne i planowe” i „szybkość” w stworzeniu, jak rozumiem, tej nowej międzynarodówki, mogą uratować świat przed katastrofą.

Nie kwestionując intencji autora i podzielając w pełni jego obawy o losy świata cywilizowanego, chcę stwierdzić, że twierdzenia jego wydają się bardzo apriorystyczne. (Jakkolwiek dziś znowu są w modzie — nie po raz pierwszy), analiza wydarzeń drugiej wojny światowej, która do tych twierdzeń prowadzi, zdaje się być bardzo uproszczona, mniej zaś przenikliwa i staranna, a wnioski ostateczne — niepokojące.

Po pierwsze: to dzisiaj bardzo modne twierdzić, że nie się nie da już załatwić w skali narodowej a tylko można i trzeba wszystko powierzyć rozwiązaniom w skali światowej. To brzmi tak nowoczesnie... tylko... czy życie temu nie przeczy. Czy to nie sytuacja wojenna tworzy takie koniunktury wobec groźby inwazji imperializmu komunistycznego, że wszystko zależy od dolarów amerykańskich i czy tak by było w czasach normalnych? Czy nie obserwujemy raczej tendencji, żeby każdy dbał głównie o swoje interesy. Czy o cudze tylko wtedy, gdy to mu wyjdzie na dobre? Zdaje się, że tak, że nawet autor rozdziera z tego powodu szaty i boleje nad losami Karty Atlantycznej, która pozostała tym, czym była...

A przecie to właśnie „złe pojęcie interesy narodowe” są za to odpowiedzialne — w skali ogólnie światowej. One działały — niewątpliwie zgnębnie dla świata i one tworzyły rzeczywistość. Nie żadne ogólnoswiatowe interesy. Ogólnoswiatowy był tylko szłyd i reklama. No, i skala. To zdaje się być regułą i warto wysnuć z tego wnioski praktyczne. Tylko inne niż p. Dobrowolski. Mianowicie: że w skali światowej interesy słabszych i łatwiejszych są podporządkowane interesom silnych i bezwzględnych. Że, wobec tego, lepiej jest nie ufać rozwiązaniom w zbyt szerokiej skali, a starać się głównie dbać o własne interesy, własną siłę i własne rozwiązania. A przynajmniej — starać się, by one w skali światowej nie przepadły. Dotychczas ci, co tak robili, wyszli na tym lepiej, niż Polska. (Np. Jugosławia, Francja). Wydaje się dziwnym, że to właśnie my mielibyśmy dziś reklamować śliską drogę „skali ogólnoswiatowej” a zaniedbywać własne, i tak już przez innych mocno zdemolowane podwórko.

Po drugie: jeżeli autor radzi przejść do porządku dziennego nad „złymi pojęciami” interesami narodowymi i działać na skalę międzynarodową, jeżeli gromi „podwórkowe racje stanu”, to co radziłby na temat — dobrze pojętych interesów narodowych i... polskiego podwórka, które, choć małe, też pewnie swoją, jakąś tam, rację stanu po-

siada...? Czy odważyłby się te nasze drobne sprawy powierzać jakiegokolwiek, nawet katolickiej — międzynarodówce?

Wreszcie, po trzecie: autor, zdaje się, przeoczył jedną, istniejącą już „międzynarodówkę” katolicką. Nie widzi jej zupełnie, a natomiast dostrzegł bierność trzystu milionów katolików, którzy są jej członkami. A szkoda, bo ta bierność to może tylko czasowa, a „międzynarodówka” liczy sobie już prawie dwa tysiące lat. A szkoda, bo gdyby dostrzegł, może by mu nie przyszło do głowy pomysł tworzenia jeszcze jednej, pomocniczej zapewne, międzynarodówki katolickiej. Może by się do tej już istniejącej sam zapisał, albo odnalazł swe imię wśród jej starych członków.

Bo to właśnie dokładnie ta międzynarodówka o którą mu chodził. Ponadnarodowa, głosząca (m.in.) zasady sprawiedliwości społecznej (przez małe s) i współpracy rodzin — narodów w społeczności światowej.

A może autor dostrzegł ją, a celowo ją przemilcza? Może, zapatrzone w wzory sąsiedzkie, chciałby takich katolickich Trade Unio-

nów przy rzymskiej Labour Party? Może uważa, że Kościół Katolicki jest odpowiedzialny za bierność katolików i to, że „większość z nas nie sięga dalej, niż koniec własnego nosa” i że trzeba stworzyć lepszą organizację — dla celów politycznych, międzynarodowych?

Nie wiem, jak autor sam rozumie te zagadnienia, ale muszę stwierdzić, że ja bym nigdy nie odważył się być przenikliwszym od Ojca Świętego i bardziej „dalekowzrostnym” i to tak dalece, by głosić program, który p. Dobrowolski rzucił w swym artykule! Myślę, że wyjście z dzisiejszych kataklizmów, o ile Bóg tego zechce, znajdzie się na drodze innej. Na drodze rozgrywek, która może przynieść jeszcze wiele strasznych cierpień narodom świata, ale którą one stoczą, bo muszą. I na drodze ich indywidualnych, późniejszych wysiłków, by odbudować ich siłę i niezależność materialną oraz wartości duchowe. I na drodze ich współzycia jako rodziny narodów. I myślę, że politycy i mężowie stanu katolicy lepiej zrobią, gdy w tym kierunku będą działali i pod kierunkiem Matki - Kościoła oraz swoich własnych

(cóż zrobić, podwórkowych) państw, według zasad katolicyzmu i patriotyzmu, niż jeżeli wysiłki swoje rzucą na mętne fale jakiegokolwiek kosmopolityzmu. Byle tylko na prawdę działali...

Wiem, że mogę być posądzony o zacofofanie, bo pewno „nie rozumiem przemian świata dzisiejszego”. Może. Dawniej to samo się mówiło o tych, co wąpili w „Postęp” naszej cywilizacji. Dobrze, że chociaż dziś w ten „Postęp” tak się nie wierzy. Niech ja już będę lepiej „zacofofanym”. Tylko, skromnie, chciałbym nadmienić to: obawiam się, że taka nowoczesna „międzynarodówka katolicka” znalazłaby rzeczywistość — równie zacofofaną jak ja. I może skończyłaby tak, jak wiele innych przed nią międzynarodówek. Tylko, że wstyd spadłby tym razem na katolików.

Poza tym, z obserwacji historii wywnioskowałem, że zwykle „międzynarodówki” (z wyjątkiem tej jednej — Bożej) są dla narodów czymś w rodzaju grypy, która je okresowo przesładuje. A grypa bywa czasem nawet śmiertelna.

Roman Jasińczyk

POTRZEBA ORGANIZACJI

ZARZUTY, wysunięte przez p. Romana Jasińczyka w artykule „Rzeczywistość czy utopia” nie zaskoczyły mnie zupełnie, ani co do treści, ani co do formy. Uzasadnione w moim artykule „żądanie rzeczywistości” zjednoczenia trzystu milionów katolików* przez stworzenie silnej, spójnej organizacji, Ponadnarodowego Ruchu Sprawiedliwości Społecznej i Współpracy Międzynarodowej — napewno nie może się wszystkim podobać. To też byłem przygotowany na silniejszy atak, niż ten, który przybrał formę artykułu p. Romana Jasińczyka.

P. Jasińczyk, nie mogąc odrzucić moich dowodów, że obecna sytuacja światowa jest wynikiem egoistycznej próby wygrywania ogólnoludzkiej ideałów dla zabezpieczenia „złych pojętych interesów narodowych” poszczególnych państw — wysnuwa z tego wnioski dość ciekawej natury. Mianowicie twierdzi, że ponieważ wszyscy tak postępują, przeto i my powinniśmy działać podobnie. Starac się zabezpieczyć jedynie nasze własne, polskie interesy, bez oglądania się na resztę.

Takie postawienie sprawy może niewątpliwie być popularne, o to jedynie chodzi, jakie to da wyniki? Książd Piotr Skarga w jednym ze swych kazań mówił, że gdy okręt

*) W rzeczywistości jest ich ponad 375 milionów (Dop. RED.).

idzie na dno, głupi tobołki swoje pakuje, a nie bierze się do ratowania okrętu, nie rozumiejąc tego, że gdy okręt zatonie i on i jego tobołki pójda z nim na dno. Losy Polski związane są z losami całej ludzkości i najlepsze nawet zabezpieczenie lokalne polskich interesów narodowych nie zda się na nic, jeśli nie uda się zażegnać katastrofy grożącej w tej chwili cywilizacji a nawet samemu istnieniu ludzkości.

Nie znaczy to, abyśmy sprawy polskie mieli, jako Polacy, zaniedbywać. Nie wolno nam jednak, specjalnie w dzisiejszej sytuacji, do nich się ograniczać.

Zapytuje p. Roman Jasińczyk w swoim artykule, czy ja uważam, że Kościół katolicki jest odpowiedzialny za bierność katolików i czy uważam, że trzeba stworzyć lepszą organizację dla celów politycznych i międzynarodowych.

Na pierwszą część tego pytania odpowiadam, że nie tylko nie uważam, aby Kościół katolicki był odpowiedzialny za bierność katolików, ale wręcz przeciwnie, gdyby tylko wszyscy katolicy działali w myśl wskazań Kościoła, to nie doznałoby do obecnej tragicznej sytuacji światowej. Na drugą część części pytania muszę odpowiedzieć, że w tym punkcie mam zupełnie inne poglądy niż p. Jasińczyk, gdyż nie uważam, aby Kościół był „organizacją dla celów politycznych i międzynarodowych” za ja-

ką pragnąłby go widocznie uważać p. Jasińczyk. Natomiast uważam istotnie, że istnieje paląca potrzeba stworzenia opartej o ideologię katolicką organizacji politycznej, mającej na celu praktyczne zrealizowanie zasad sprawiedliwości społecznej i współpracy międzynarodowej.

Przy okazji chciałbym jeszcze nawiązać do artykułu p. Dubanowiczówny w numerze 4-ym ŻYCIA. Nawiązując do też B. Russell'a, który na koniec bieżącego stulecia widzi jedynie trzy zarysowujące się przed ludzkością możliwości, a mianowicie:

a) eksterminacja rasy ludzkiej,
b) powrót do barbarzyństwa,
c) zjednoczenie świata pod jednym tylko rządem, który posiadać będzie monopol sił zbrojnych; p. Dubanowiczówna widzi w tych trzech jedynie pesymizm neopogańskiego filozofa, nie dostrzega w nich jednak tego, co stanowi ich obiektywną wartość, trzeźwej oceny obecnej sytuacji i drogi, po której kręci ludzkość. Wprawdzie, i tu p. Dubanowiczówna ma słusność, mogą wyłonić się jakieś nowe, w tej chwili niewidoczne dla nas możliwości, niemniej optymizm, nie poparty żadnymi realnymi przesłankami, wydaje mi się raczej lekkomyślny.

Nie dalej, jak w orędziu wigilijnym przestrzegali Ojciec św. przed groźbą użycia nowych broni, które pozostawiłyby ziemię „pustą i próżną pustynią i chaosem podobnym

do pustkowi nie w zaraniu świata, ale u jego schyłku”.

To nie jest pesymizm. To jest tylko spokojna ocena rzeczywistości.

Groźby wiszące nad ludzkością nie są błahą natury.

I nie kończą się one na zbliżającym się obecnie konflikcie, jak to się wydaje p. Romanowi Jasińczykowi.

Wygranie przez świat zachodni nadciągającej wojny nie rozwiąże automatycznie wszystkich trudności, nie odwróci, samo przez się, widma grożącej ludzkości katastrofy.

Nadchodząca wojna niesie ze sobą zniszczenia. Wojny następne nieść będą zagładę.

Zapobiec temu można tylko jedną drogą — położeniem podwalin trwałego pokoju przez kompletną przebudowę świata w kierunku zapewnienia sprawiedliwości społecznej i współpracy międzynarodowej, przez odrzucenie egoizmu jako normy postępowania, tak między jednostkami, jak i pomiędzy całymi narodami w oparciu o ideologię zbudowaną na podstawach niewzruszalnych — wiecznych.

Ale to wymaga trzeźwej oceny rzeczywistości w miejsce łatwego optymizmu. I działania w miejsce bezczynności.

Działania zdecydowanego, solidarnego i zorganizowanego.

A do tego działania konieczna jest organizacja.

Tomasz Dobrowolski

A CO MY SĄDZIMY...

Szanowny Panie Redaktorze!

Z urywków listu, które wraz ze swoim komentarzem ogłosił p. J. Giertych p.t. „Co o nas sądzą Anglicy” w Nr. 4/188 ŻYCIA wynika, że tubylcza ludność katolicka z przybyciem Polaków miała zostać przez nas wzmocniona w swoich sztykach w religijnej „Battle of Britain”. Rachuby szusne, ale, niestety, niezbyt wzniosłe, gdyż:

a) zanieczyszczone (podświadomie może) angielskim egoizmem (autor boleje jedynie nad złem ze względu na Anglików);
b) skłonnością do wysługiwaniania się kumś-innym (katolicy angielscy dotknęci są niespotykaną apatią i katastrofalnym indyferentyzmem, obejmującym niemal połowę społeczeństwa katolickiego; porównaj np. artykuł „25.000 children lapse each year”, w „Catholic Herald” Nr. 3375);

c) chorobliwym kompleksem niedrażnienia tubylczych nie-katolików (tym samym, który im kazał omalże zapomnieć kiedyś o kulcie N. M. P., śpiewie kościelnym i który jeszcze dzisiaj przepędza ślady czulej ręki zdołnika z wnętrza kościelnych. Tym samym, który jest współodpowiedzialny za wychowywanie tej opinii).

Nie twierdząc, aby liczna grupa dobrych i dzielnych katolików angielskich oraz mniej liczna złych i biernych katolików polskich, zniknęły z powierzchni ziemi na tej wyspie. Są. Podobnie, jak w innych społeczeństwach katolickich.

Z podanych przez p. J. Giertycha cytatów wynika, że ów katolik angielski ma skłonności do przesady. Pominę sprawę standardu moralnego Ukraińców i Włochów, oraz kwestię spychania naszej świętej wiary do ryszotki, poruszę jednak heroizm walki o religię w Anglii.

Otóż, heroiczna walka o utrzymanie wiary w Anglii wyglądała w ten sposób, że mniej było w niej heroizmu niż nam się wydaje, lecz zapewne więcej niż o nim wiemy w istocie. Można by się zdziwić np., że jednym i jedynym biskupem odmawiającym uznania supremacji religijnej króla Henryka VIII, był św. Jan Fisher. Nie należy zapominać, że katolicy angielscy mają niewspólnie wysoki dług wdzięczności w stosunku do Irlandczyków, bez których trudno by sobie wyobrazić dzisiejszy katolicyzm w Anglii. Nie bez wpływu byli także konwertyci tej miary co błog. Edmund Campion, błog. Margaret Clitherow, czy już później kard. J. H. Newman.

Tyle, jeśli chodzi o autora listu. Pan J. Giertych źle sądzi, że będzie dobrze podać te urywki do szerszej wiadomości. Po prostu „szkoda czasu i atlasu”, dlatego, że:

a) tkwi w nas wiele samokrytycyzmu i niekompetentny sąd cudzo-

(Dokończenie obok)

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

OBJAŁ Z DNIEM 1 STYCZNIA 1951 r.

SKŁAD GŁÓWNY WYDAWNICTW

STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

Od dnia 1 stycznia obowiązują następujące, zniżone ceny:

A. Miekiewicz:	POEZJE WYBRANE, przedmowa Jana Lechonia, wybór Wiktora Weintrauba	3/6
A. Miekiewicz:	SŁOWA DO EMIGRACJI I SŁOWA DO EUROPY, wybór publicystyki w opracowaniu Tymona Terleckiego	3/6
B. P r u s :	NOWELE WARSZAWSKIE, przedmowa Wacława Grubińskiego, i posłowie Marii Daniłowiczowej	7/6
B. Leśmian :	ŁĄKA I TRAKTAT O POEZJI	1/6
K. Wierzyński:	KRZYŻE I MIECZE	3/6
M. Hemar :	LATA LONDYSKIE	1/-
T. Terlecki :	POLSKA A ZACHÓD. Próba syntezy (3 wydanie)	1/-
S. Baliński :	WIERSZE ZEBRANE (1927 — 1947)	7/6
W. Grubiński :	O LITERATURZE I LITERATACH (Zbiór szkiców)	4/6
A. Bogusławski:	STRUNY NA DRZEWACH (poezje)	1/-
LITERATURA	Wolne opinie (Grubiński, Kisielewski, Rojek, Sukiennicki, Terlecki, A POLITYKA. Ulatowski, Zahorska)	-/6
W. Grubiński:	MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM (Wspomnienia z Rosji)	9/6

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH POLSKICH

SKŁAD GŁÓWNY:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

12, Praed Mews, London, W.2. Tel. AMB 6879.

Z SALI WYKŁADOWEJ

KRYZYS LITERACKI BRACI SYJAMSKICH

PRZEZ literackich braci syjamskich rozumiemy literaturę piękną i krytykę literacką. Bracia ci niewątpliwie jeden bez drugiego nie mogą żyć w pełni swego rozwoju. Nie znaczy to, aby kryzysy musieli przeżywać jednocześnie. Zdarzyć się może i tak, że krytyka przeżywa swój rozkwit w okresach ogórków twórczości literackiej, cofając się wstecz, do okresów, gdy literatura rozkwitała. Twórczość pisarska, nie znajdując oddźwięku u współczesnych, niekiedy długo musi czekać na swoją krytykę.

Nie popieramy tego schematu popismem erudycji, gdyż chodzi o nawiązanie do pewnej zupełnie szczególnie i odrębnej okoliczności. Może w literaturze francuskiej znalazło by się najlepsze przykłady tego rodzaju rozbieżności czasowych między rozwojem krytyki i literatury. A może w polskiej literaturze znaleźć można by wybitne przykłady tego, jak to zazwyczaj rozkwit krytyki następuje po rozkwicie twórczości w zakresie literatury pięknej. Nawiązując do naszego odrębnego wypadku, pragniemy raczej wskazać na te szczególne szczęśliwe lub nieszczęśliwe wypadki, kiedy rozkwit lub kryzys literatury zbiegł się z rozkwitem lub kryzysem krytyki. Bo szczególnie ważny wydaje się wypadek wzajemnego, równoczesnego zasilania się lub wyczerpywania sił u obu braci syjamskich.

Do najszcześniejszych wypadków należą więc te, kiedy Żeromski znajduje wśród współczesnych swego Brzozowskiego, mniej szczęśliwy jest wypadek, gdy dopiero pośmiertnie Norwid znajduje swego Miriamę, ale zadziwiający są takie wypadki, kiedy egzystencjalizm w literaturze np. reprezentowanej przez Sartre'a znajduje swoje przygotowanie na kilkadziesiąt lat wcześniej w rozważaniach krytycznych i poczynaniach literackich, jak „Immoralista” Gide'a. Choć nie znaczy to bynajmniej, by sam egzystencjalizm w literaturze był zjawiskiem szczególnie szczęśliwym. Jego pojawienie się na arenie literackiej, w dziedzinie twórczości i krytyki, zbiega się bowiem z okresem, kiedy w najlepszym razie krytyka schodzi tą samą równią pochyłą co literatura piękna. Za gorszy wypadek uważalibyśmy fakt, gdyby krytyka sama przyczyniała się w miarę swoich sił do zepchnięcia literatury jak najprędzej na sam dół, t.j. tam, gdzie nie ma miejsca ani na jedną, ani na drugą.

Do tych smutnych refleksji zaprowadziły nas dwa pozytywne z punktu widzenia informacyjnego wieczory literackie, które urządzono w ramach niedzielnych, miesięcznych herbatek w Klubie YMCA w Londynie. Pierwszy omawiany na tych łamach odbył się u progu nowego roku i poświęcony był doli pisarza polskiego na obczyźnie. Dotykał bolesnej sprawy warunków wewnętrznych i zewnętrznych w jego pracy twórczej.

A CO MY SĄDZIMY...

ziemka nie wniósł żadnych istotnych poprawek do naszego o sobie sądu. Publikacja jego pogłębia zakrawającą już zgola na sadystyczne nasze upodobanie do samobiczowania się.

b) Przytoczenie tej opinii, jako środka odstrasżającego od czynienia zła stanowi nieskuteczny i zły „ersatz” w wskazywaniu na potrzebę stosowania normy moralności, co przy naszej skłonności do „wystawy”, tak kulturowanej z istic mendlarską pieczołowitością w kraju i tutaj, w Anglii — jest wręcz objawem niezdrowym.

Wątpliwe, abyśmy ulegli jedynie wpływowi atmosfery angielskiej. Była ona tylko sprzyjającą okazją do wydobycia tego, co potencjalnie tkwiło w naszym społeczeństwie jeszcze przed wojną. Nasza emigracja nie reprezentuje ani gorszej, ani lepszej, ani nadrzędnej części społeczeństwa polskiego — ale jego przekrój. I jeśli chcemy coś w nas poprawić, udoskonalić i usunąć, to nie tą metodą!

Nie można nauczyć miłości dobra tylko przez nienawiść zła!

Łącząc wyrazy głębokiego szacunku

Tadeusz Kęsik

Dotyczył warunków polskich, ale one nie tak daleko znowu odbiegają od warunków na szerszym świecie. Skomercjalizowanie produkcji literackiej i ucisk atmosfery politycznej jest tak nieprzychylny, nawet w krajach mogących się szczycić największą swobodą myśli i największym dobrobytem, że wszędzie twórczość czuje się raczej zduszona i bezradna. Równie zduszoną i bezradną jest krytyka literacka, która znajduje tylko takie rady i lekarstwa, które stan kryzysu mogą tylko pogłębić do krańcowych granic. Tu bezradność zakrawa wręcz na złośliwość.

Drugi wieczór będący niejako uzupełnieniem pierwszego, choć tematyka jego obracała się raczej w płaszczyźnie międzynarodowej, był trójgłosem trzech polskich krytyków: Terleckiego, Herlinga-Grudzińskiego i Broncia na temat personalizmu, marksizmu i egzystencjalizmu w krytyce literackiej. Odbył się w niedzielę 28 stycznia br. i był panoramą poglądów na zagadnienia związane z próbami wytyczenia literaturze takich szlaków, które by prowadziły do rozbudzenia jej twórczości.

Jak się jednak okazało, na ogół szlaki te prowadziły do ślepych uliczek. Na końcu jednej stał nieublagany policjant regulujący każdy ruch pióra w reżymie marksistowsko-bolszewickim, na końcu innej znajdowała się zabójcza skała tarpejska, z której pisarz egzystencjalistyczny, osaczony przez warunki ustrojowe, ograniczające jego wewnętrzną wolność tworzenia, zmuszony był rzucać się w przepaść samoniecienienia siebie i literatury, z tą jedynie pociechą w uszach, że przecież były, więc i mogą być jeszcze epoki zupełnie pozbawione literatury i krytyki literackiej.

Nie jest to jakieś przejawienie przez nas sytuacji, gdyż użyte tu porównania wzięte zostały z ust samych referentów. Jakkolwiek nie dotyczyły one personalizmu, związane były najściślej z socjologicznym podejściem do zagadnień twórczości literackiej. A na to podejście nie obojętny jest i personalizm,

który szuka osobowości otwartej jak tylko można na świat zewnętrzny, ale przede wszystkim ma na oku sprawy społeczne.

Ustawiając proces spięcia twórczego na osi osobowości-świat, twórca personalizmu Mounier przestania inne osie, jakie mogą jeszcze istnieć, ważniejsze. W poglądach na świat, opartych na idealizmie platońskim, czy jemu pokrewnym, osie te biegną między jednostką tworzącą a światem idei wiecznie prawdziwych. Pogląd personalistyczny wypowiadając cały szereg praw niezależnych od samego tego poglądu, ogranicza poza tym i ścieżnia pole widzenia spraw i odwraca uwagę od bardziej istotnych dla procesów twórczych dziedzin, bo od świata przeżyć czysto poetyckich, leżących u podstaw wszelkiego zjawiska literackiego. Dają się one objąć nie kategoriami takiego czy innego stosunku społecznego, ale kategoriami przeżyć estetycznych.

Chcieć widzieć w stosunkach społecznych, czy w socjologicznym podejściu do zjawisk literackich, źródło szczególnych natchnień twórczych, jest nie tylko zawodne, ale wręcz nieskuteczne. Wszystkie próby pobudzenia w ten sposób twórczości czy odbiorczości w czasach obecnych generalnie zawiodły. Nie zawiodły chyba tylko tam, gdzie nie były zakładane programowo, jak np. u Faulknera lub były odporne, jak u Orwella. W żadnym ustroju posługującym się propagandą realizmu socjalistycznego nie pojawił się pisarz o wartościach prawdziwego artysty.

Te impresje raczej, niż systematyczne wywody polemiczne nie zwracają się bynajmniej pod adresem referentów, lecz autorów referowanych przez nich poglądów, więc poza Mounierem, również Lukacsa i Sartre'a. Przede wszystkim dlatego, że Terlecki, Grudziński czy Broncel, każdy na swój sposób zastrzegali się, że nie referują bynajmniej swoich poglądów czy też poglądów, pod którymi by się dzisiaj podpisawali. Następnie dlatego, że gdyby można było dopatrzeć się pewnego solidaryzowania się niektórych re-

ferentów z niektórymi z przedstawionych poglądów, to trzeba by dokonać najpierw rozszady w obszarze przez nich tematów.

Zresztą dyskusja nie poszła po linię obrony przedłożonych tez. Poszła raczej w kierunku obrony nie-reprezentowanego w referatach akademizmu, czy eklektyzmu i w podkreśleniu momentów kryzysowych. Brali w niej udział m. in. pp. Karpiej, Zahorska i Ostrowski. Przy całej więc wdzięczności dla referentów za zaspokojenie częściowo naszej ciekawości w tak rozległej dziedzinie spraw literackich, tym bardziej odczuwało się pewien niedosyt i pragnienie jakiegoś pozytywu, jakiegoś po prostu nadziei na dzień dzisiejszy i na przyszłość.

Referenci wystąpili każdy w obecnej skórze. A dziś, w czasach kiedy tak łatwo zmienia się skórę, nie pragnie się niczego więcej, niż zobaczyć człowieka w jego własnej szacie. To też jakże ciekawym byłoby spotkanie się znowu na jakimś wieczorze, na którym każdy z referentów wystąpiłby z wykładem własnych poglądów na zagadnienia krytyki literackiej tych, których się trzyma lub które chciałby stosować, jeśli teraz nie ma możliwości tego czynić.

Trudno nam się powstrzymać od przypuszczenia, w którym mógłby się ktoś dopatrzeć intelektualnego wyzwania, że wówczas może się okazać, iż u referenta personalizmu wystąpiłoby podłoże akademickie, w całej rozciągłości historycznej tego terminu, u referenta marksizmu wyraźna skłonność do stanowiska egzystencjalistycznego, a u referenta egzystencjalizmu ukłon w kierunku socjologicznego marksizmu. Być może tak, być może trochę inaczej. Ale właśnie: — jak?

J. O. N.

Od Redakcji. — W dyskusji YMCI nie poruszono w ogóle problemu personalizmu chrześcijańskiego, który stanowi ogromny dział współczesnej krytyki literackiej. Kierunek ten jest — w każdym razie w Polsce — przeciwstawieniem się krytyce marksistowskiej i egzystencjalistycznej.

BOMBA PIEKIELNA

W „Observerze“ z d. 4 lutego r. J. Bronowski omawia książkę uczonego amerykańskiego Williama L. Laurence'a, poświęconą wynalazkowi bomby wodorowej. Książka ta p.t. „The Hell Bomb“ („Bomba piekielna“) ukazała się świeżo w Nowym Jorku nakładem A. A. Knopfa; w Anglii jeszcze się nie pojawiła.

William Laurence jest jednym z czołowych specjalistów amerykańskich w zakresie energii atomowej. Do niego wyłącznie należało kierownictwo laboratoriami w Los Alamos, kiedy jeszcze bomba atomowa była sekretem; on też brał udział w wyprawie „atomowej“ nad Nagasaki w dn. 9 sierpnia 1945 r. Stwierdza on w swej książce, że już wówczas myśłano o bombie wodorowej. Być może, że było to przyczyną uprzednich alianckich ataków powietrznych na zakłady produkujące „ciężką wodę“ w Norwegii, znajdującej się pod okupacją niemiecką. Chodziło o to, by nie tylko pozbawić Niemców możliwości używania ciężkiej wody w badaniach atomowych, ale także jako źródła ciężkiego wodoru, mogącego służyć do fabrykacji bomby wodorowej. Aliantom wydawała się wówczas, że Niemcy muszą być bardziej od nich zaanwansowani w badaniach tego rodzaju.

Istnieje zasadnicza różnica między eksplozją atomową a wodorową. Wyzwolenie energii atomów ciężkich, takich jak uran i pluton, następuje w drodze rozpadu (fuzji) tych atomów. Potrzebne są do tego specjalne warunki. Tak więc eksplozja plutonu, wywołana rozpadem jego atomów, nastąpić może tylko przez zgromadzenie w jedną masę 15 — 20 kilogramów tego pierwiastka. Dlatego też bomba atomowa nie może ważyć mniej; nielatwo też sfabrykować bombę cięższą.

W przeciwieństwie do tego wyzwolenie energii atomów lekkich, t.j. przede wszystkim wodoru, następuje przez zespolenie (fuzję).

Przy rozpadzie uranu poszczególne części, uzyskane w ten sposób, ważą w sumie mniej niż całość. — różnica obraca się w energię. Natomiast jeśli cztery atomy wodoru łączą się w hel, to ta nowa całość jest cięższa od części, które się na nią złożyły, — i znów różnica ulega przekształceniu w energię. W obu wypadkach owa energia znajduje wyraz w strasliwym niszczącym wybuchu.

Astronomowie już ok. r. 1930 przypuszczali, że energia, produkowana przez słońce, jest właśnie wynikiem przekształcania się wodoru, z którego słońce głównie jest zbudowane, w hel. Prawdopodobnie wszystkie gwiazdy były z początku zbudowane z wodoru, z którego stopniowo wytwarzały hel i cięższe pierwiastki.

Wodór słońca i innych ciał niebieskich przekształca się w hel w temperaturze około 20.000.000 stopni Celsjusza. Do niedawna trudno było marzyć o osiągnięciu takiej ciepłoty w doświadczeniach na ziemi, ale ten stan rzeczy uległ zmianie z chwilą wynalezienia bomby atomowej, która w momencie detonacji osiąga temperaturę 50 mil. stopni. Dlatego też bomba wodorowa musi zawierać w sobie bombę atomową, która by wytworzyła temperaturę, potrzebną do „fuzji“ wodorowej, a tym samym do eksplozji. I to jednak nawet nie wystarcza, gdyż temperatura 50 mil. stopni trwa w bombie atomowej tylko przez milionową część sekundy, co nie wystarcza do wywołania „fuzji“ wodoru. By ta „fuzja“ nastąpiła, konieczne jest użycie w bombie pewnej ilości specjalnie ciężkiego wodoru, tzw. tritium.

W przeciwieństwie do bomby atomowej wielkość bomby wodorowej w zasadzie nie jest ograniczona; wszystko bowiem zależy jedynie od osiągnięcia należytej temperatury. Przypuszczalnie należy, że możliwe będzie zbudowanie bomby wodorowej ważącej nawet tonę; byłaby ona tysiąc razy silniejsza od bomby trzuczonej na Na-

gasaki. W razie wybuchu jej na wysokości 10.000 — 20.000 stóp spowodowałaby on gruntowne zniszczenie w kole o średnicy 20 mil. Na obszarze tym, obejmującym około 250.000 akrów, zginęłaby przypuszczalnie połowa wszystkich żywych istot.

Laurence przypuszcza więc, że przy pomocy bomb wodorowych niszczyć by można całe wielkie armie, będące w ruchu. Bronowski jest co do tego sceptyczny, zaznaczając, że armie zwykły dziś posuwać się w bardzo wielkim rozproszeniu. Natomiast bomba wodorowa stanowi śmiertelne zagrożenie dla wielkich miast. Największe miasto świata, jakim jest Wielki Londyn, ma trzydzieści mil średnicy; na obszarze tym mieszka blisko 9.000.000 ludzi i obejmuje on jedną czwartą część całego przemysłu brytyjskiego. Jedna bomba wodorowa zniszczyłaby bez możliwości naprawy wewnętrzną połowę tego obszaru, od Hounslow do Woolwich, i od Barnet do Croydon, a pożary przerzuciłyby się także do połowy zewnętrznej Wielkiego Londynu. Liczba zabitych, przyjmując, że nie było by ewakuacji, znacznie przekroczyłaby milion osób.

Bomba wodorowa mogłaby stać się także źródłem promieniowania radiowego na olbrzymią skalę. Stałoby się to wówczas, gdyby bomba umieszczona została rozmyślnie w skrzyniach z metalu takiego jak kobalt, który się staje silnie radioaktywny. W tym wypadku pył atomowy unosiłby się przez lata nad Europą ze złowrogimi skutkami.

Bronowski kończy uwagą, że bomba atomowa jest czymś więcej niż tylko bronią; oznacza ona sygnał alarmowy dla cywilizacji, opartej o skupienia miejskie.

Książka Laurence'a, jak by wynikało z artykułu Bronowskiego, nie ujawnia, czy uczeni amerykańscy zdolali już wyprodukować bombę wodorową. Być może jednak, że ostatnie doświadczenia, przeprowadzone w stanie Nevada, pozostają w związku z tymi badaniami.

NOWE FILMY

„Pandora and the Flying Dutchman, (Odeon, Leicester Sq.), „Blackmailed“ (Gauguin i Marble Arch Pavilion), „Murder Without Crime“ (Tivoli i Astoria).

Anglosasi pozazdrościli J. Cocteau jego „Orfeusz“ i postanowili dowiedzieć, że i oni potrafią pokazać na ekranie poezję, bajkę i trochę filozofii, zmieszanej z erotyką. „Pandora i latający Holender“ to film bardzo ambitny, napisany, wyprodukowany i wyreżyserowany przez Alberta Lewina przede wszystkim w celu zrobienia kasy (umowa z Lewinem przewiduje, że honorarium otrzyma dopiero wtedy, gdy film znacznie dać czysty dochód). Jeśli jeszcze dodamy, że film w założeniu pomysłany jest jako artystyczny, a jednak popularny, to stanie się jasnym, że chciano tu złapać za ogon wszystkie sroki znajdujące się w polu widzenia p. Lewina i p. Johna Woolfa, który w produkcję wsadził wielką część spadku po swym ojcu C. M. Woolfie, znanym brytyjskim pionierze kinowym. „Pandora i latający Holender“ jest jednym z najdroższych filmów lat ostatnich — koszt jego nakręcenia oceniają na 300.000 do 350.000 funtów.

To wszystko warto wiedzieć, oceniając wynik anglo-amerykańskiej imprezy, która najprawdopodobniej spełni — i to dość zasłużenie — oczekiwania producentów i reżysera. Bo choć film nie jest bezbłędny, powolny i bardzo długi (122 minuty), nie można mu odmówić poważnych walorów artystycznych i znacznie większych zalet rozrywkowych. Na pewno wart jest paru szylingów, wydanych na bilet.

Fabula filmu oparta jest na dwóch ożenionych ze sobą legendach: o Pandorze, pokazanej tu jako femme fatale — kochanej, lecz niezdolnej do miłości i siejącej wokół nieszczęścia — i o Holendrze Van der Zee, który zaszytyletował w wieku XVI swą rzekomo niewierną żonę, za co został skazany na wieczne samotne tułactwo, chyba, że spotka kobietę, która — pokochawszy go — gotowa będzie oddać zań życie. Latający Holender tuła się po morzach na swym starym, a potem już nowoczesnym jachcie i tylko co siedem lat ma możliwość krótkiego zetknięcia się z ludźmi. W naszych czasach (przed wojną), w pięknym hiszpańskim miasteczku o symbolicznej nazwie Esperanza, spotyka piękną amerykańską dziewczynę imieniem Pandora, która... Tu przerywam, by nie psuć widzowi osobistego odbioru.

W filmie pokazano wiele, zdaniem moim trochę za dużo. Mamy tam i jeżące włosy na głowie wyścięgi samochodowe, i doskonale pokazane walki byków z autentycznym torreadorem (Mario Cabre, który ponoć na prawdę zakochał się w odtwórczyni postaci Pandory, pięknej Avie Gardner), wypadki samobójstwa, statek-widmo, pływający bez obsługi pod rozkazami nie mogącego umrzeć kapitana i wiele innych rzeczy. Wszystko w doskonałym technicolorze, w sprawie artystycznej fotografii, zrobione inteligentnie, zagrane dobrze, miejscami doskonale. Na czoło obsady wysuwa się James Mason, któremu niektórzy angielscy recenzenci niesłusznie zarzucają nadmierną małomówność. Niechby spróbowali żyć pięćset lat jak Latający Holender! Ava Gardner bardzo dobra, choć jest kilka aktorów (jak Ingrid Bergman), które by rolę potrafiły lepiej ująć pod względem psychologicznym, a zwłaszcza wczuć się głębiej w patetyczną końcową scenę. Pozostali członkowie 24-osobowej obsady — na poziomie, z wyjątkiem Nigel Patricka, który poblił wszystkie rekordy samochodowe, osiągając zarazem szczyt niedoświadczenia i nudy w ślamazarnych zolotach do Pandory. Wprawdzie gra tu Anglika, ale nawet syn Albionu nie mógłby być takim ślimakiem!

Wady filmu: dłużyzny, zbyt uroczyście celebrowanie poetycko-uroczej, ale filozoficznie białej legendy, brak humoru, który — przy znacznych obcięciach — mógłby z tego filmu uczynić dzieło najwyższej klasy.

Drugim ambitnym filmem tygodnia są „Szantażownicy“ („Blackmailed“), angielski, zrobiony według powieści F. Meyers, dramat psychologiczno-kryminalny o wydziewku moralnym, streszczającym się w słusznej maksymie, że cel nie usięca środków. Starsza siostra szpitalna, przypadkowo wpłataną w powikłania życiowe innych osób, zabija cynicznego szantażystę, by uwolnić bliźnich od gniojącej ich zmory. Okazuje się jednak, że zbrodnia ta nie rozwikłała żadnego z węzłów gordyjskich, zaciskających (Dokończenie na str. 8-ej)

ZAPISKI PO LEFKACH LONDŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

„LA VIE COMMENCE DEMAIN“

Żaden film od dawna nie wywołał tylu dyskusji i komentarzy w Anglii, co francuski obraz eksperymentalny „La vie commence demain“, wyprodukowany pod patronatem UNESCO, a wyświetlany w Wielkiej Brytanii po raz pierwszy na zeszłorocznym festiwalu edynburskim, o czym wówczas donosiliśmy w ŻYCIU. W filmie tym — jak wiadomo — dziennikarz André Labarthe oprowadza po Paryżu młodego przybysza z prowincji, nie pokazując mu jednak zabytków czy architektury stolicy Francji, ale styka go z szeregiem wybitnych postaci świata intelektualnego, naukowego i artystycznego: Sartrem, Rostandem, André Gidem, Lagachem, Le Corbusierem, Picassem. Ludzie ci roztaczają przed młodym przybyszem wizję nowego rodzającego się świata, mówią o nowych ideałach i odkryciach.

W tygodniowej audycji krytyki artystycznej, teatralnej i literackiej, w dniu 28 stycznia film „La vie commence demain“ omawiany był przez Fredę Bruce Lockhart, po czym zabierało głos paru innych krytyków. Ogólna ocena była raczej ujemna; podkreślano materialistyczny charakter wizji przyszłości, jaką film w sobie zawiera.

Bardzo krytycznie pisze także o tym filmie Cyril Ramsay Jones na łamach „John O'London's Weekly“ z d. 2 lutego. Zdaniem jego całość idzie za daleko po linii „wspaniałego nowego świata“ — ponurej satyry Aldousa Huxleya, choć twórcy filmu siłą się na wywoływanie optymizmu. Jones podkreśla specjalnie negatywny stosunek filmu do wszelkiej tradycji. Kiedy młody gość z prowincji pragnie zwiedzić Conciergerie i Luwr, jego cicerone Labarthe woła: „To starzyzna! Przeszłość umarła. Zapomnij o niej! Patrz ku świetnej przyszłości, która przygotowuje się dla ciebie“. „Pozbysz się w ten sposób — dodaje Jones — tak bezużytecznych obciążań, jak Racine, Poussin i Mont St. Michel, gotowi jesteście znaleźć się w Nowym Złotym Wieku; Chartres wymieniamy na Sartre'a“.

„BOTTEGHE OSCURE“

Od r. 1948 ukazuje się we Włoszech interesujący periodyk literacki „Botteghe Oscure“ (jest to nazwa jednej ze starych malowniczych uliczek Rzymu), założony przez księżkę Caetani. Pismo to, wychodzące dwa razy na rok, ma charakter międzynarodowy; drukuje utwory prozą i wierszem w językach włoskim, francuskim i angielskim.

Obecnie w Londynie pojawił się wybór najcenniejszych utworów młodych pisarzy włoskich, jakie ukazały się na łamach „Botteghe Oscure“, dokonany przez założycielkę i kierowniczkę pisma („An Anthology of New Italian Writers“, edited by Marguerite Caetani, John Lehmann, cena 18 sh.). Wybór obejmuje dwie średniej wielkości powieści, pewną ilość nowel i wybór poezji. Całość wskazuje na istnienie we Włoszech dobrej klasy pisarskiej wśród młodszego pokolenia powieściopisarzy i poetów i — zdaniem recenzentów prasy brytyjskiej — przedstawia się nader interesująco.

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI I MASONERIA

„Observer“ z d. 4 lutego zauważa, że anglikański arcybiskup Canterbury, dr Fisher, może w niedługim czasie stać się ośrodkiem nowych sporów. Szereg duchownych anglikańskich postanowiło podnieść na tegorocznej konwokacji „Church of England“ zagadnienie masonerii i postawić wniosek, domagający się śledztwa w tej sprawie. „Jak słychać — pisze „Observer“ — inicjatorzy tego wniosku zebrali znaczną ilość danych, dotyczących masonerii, i są nawet w posiadaniu „tajnych sposobów i u-

AKADEMICKA CIOCIA

PO przeczytaniu ostatniego „Zycia akademickiego“ najpierw porwał mnie śmiech pusty, a potem litość i trwoga. Bo primo, proszę panów: sztuka pisania nie polega na stawianiu liter. To jest tylko używanie pisma. Każdy człowiek na ogół umie rozmawiać z bliźnimi. Ale to nie dowód, aby się pchał zaraz na deski sceny. Śpiewać ludzię potrafimy bez mała wszyscy. Ale komuż w głowie, aby się stante pede rwać do głośnika? Sztuka pisania ma najbrutalniejszych kochanków. Z byle czym i byle jak — od razu za pióro.

Nie jest to wcale wada akademicka. To właściwość narodowa. Słowacki upatrywał w Polakach „gust do wrzasku, do ukwaszonych ogórków, do herbów“. Wówczas wrzeszczeli, gdyż znakomita większość narodu nie wiała piórem. Dziś Polacy umilkli, chwytając za pióro. Ale cum tacent, clamant. Krzyczą pisząc.

Piszą: programy polityczne, okólniki organizacyjne, gazetki, listy otwarte, wiersze, dramaty, powieści, listy do redakcji, traktaty filozoficzne, oskarżenia, potępienia, odwołania. Na ilość wcale nie jest tak źle z bezdomnym słowem polskim. Czy znacie, bracia młodzi, wszystkie sztuczki polskich dramaturgów? Czy wiecie, ile powieści czeka na wydawców? Czy się domyślacie, ile codziennie wierszy dostaje redakcja „Życia“? Czy przypuszczacie, ile kaźde „Lepki“ wywołują „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępińskich swarów“? I to wszystko na piśmie. Verba volant, scripta manent.

Piszą też i akademicy, którym to akademikom zresztą z takim pisaniem jeszcze najbardziej do twarzy. Do pewników nowoczesnej kultury należy bowiem przekonanie, iż „młodzież musi się wyszumieć“. Fryderyk Wielki ustępował z drogi tylko dwóm ludzkim gatunkom: pijanym żołnierzom i akademikom. Nie mam nic przeciw szumieniu i dlatego przy lekturze „Zycia akademickiego“ porwał mnie śmiech pusty.

Ale zaraz przyszła litość i trwoga. Albowiem wy macie rację, bracia akademicy, aczkolwiek swej racji nie umiecie kształtnie wyrazić.

Podkpiwacie z Pytii narodowych. Bawicie się z nimi w pytkę, co to chodzi koło drogi. Macie katonów, nestorów, matadorów i redaktorów

krytych tajemnicie inicjacji. Wedle artykułu w styczniowym zeszyście czasopisma „Theology“, którego autorem jest Rev. Walton Hannah, wiernemu członkowi wolnomularstwa nie wolno ujawniać tych tajemnic „pod groźbą wydarcia mu języka, przecięcia gardła od ucha po ucho i pogrzebania jego ciała w piaskach przymorskich“.

„Być może dobrze jest — dodaje sarkastycznie „Observer“ — że p. Hannah nie jest członkiem bojaźliwym“.

„Prymas dostaje się w tę sprawę, gdyż jest masonem — stwierdza dalej autor notatki — Czy jako taki będzie uważał za konieczne sprzeciwić się rezolucji? Jeśli zaś badania, przeprowadzone przez Konwokację, potępią masonerię — a zapewniano mnie, że być może to nastąpi — jakaś będzie jego sytuacja? Jasną jest rzeczą, że jeśli arcybiskup będzie po tym fakcie pozostawał nadal czynnym wolnomularzem, mógłby być oskarżony o herezję“.

Całość notatki pisana jest w tonie raczej ironicznym i nie wiadomo, o ile autor traktuje sprawę na serio.

za hetki-pętelki, za ciocie strupieszale w staropanieństwie. Bo my — powiadacie — nie mamy czasu na głupstwa. Dancingi owszem, ale pilsarże polscy — to już prywatna sprawa sumienia i wyboru. Wybieracie więc?

Otwarcie powiem, że na waszym miejscu nie kręciłbym. Powiedziałbym prosto z mostu: „Nie chodźmy na polskie imprezy, bo nas to nie bawi.“ Oto sedno sprawy.

Smutne sedno sprawy emigracyjnej. Bo ojczyzna, to przede wszystkim kultura. „...Aczkolwiek człowiek — pisze Ojciec I. M. Bocheński w niezmiernie pożytecznej broszurce „O patriotyzmie“ — nie jest tylko duchem, to jednak jest przede wszystkim istotą duchową i w jego życiu etycznym główną rolę odgrywają czynniki duchowe — a więc kultura. Choć więc nie będzie to zupełnie ściśle, możemy powiedzieć, że przyznanie się do określonej ojczyzny jest przede wszystkim przyznaniem się do pewnej kultury narodowej.“

Niestety, czy może raczej na szczęście, kultura, to nie jest zapis w metryce. Jest to największa siła duchowa, wszechprzenikające powietrze, nieuniknione ciśnienie i grawitacja, żywioł, bez którego nie ma życia. Życie człowieka jest procesem zarówno biologicznym, jak kulturalnym. Człowiek może żyć tylko w sposób kulturalny, uwarunkowany określonym typem kultury. Nie istnieje próżnia kulturalna. Nie ma ucieczki od kultury.

Pokolenie uformowane kulturalnie w Polsce żyje dziś na obczyźnie i żyć będzie wedle ideałów kultury polskiej i jej treści. Aczkolwiek pozbawione względnie lekkomyślnie się pozabiające dopływem świeżego powietrza twórczości kulturalnej z ojczyzny (inna rzecz, że w ojczyźnie pełni się dziś równorzędnie kultura obca), ma w sobie dość duchowych soków żywotnych, aby kulturą polską nadal żyć a nawet usiłować kulturę tę twórczo pomnażać i młodemu pokoleniu zaszczać.

Czy jednak ma na to dość sił? To pewnie, że nie. Ale nawet nie w tym tragizm. O treść bowiem i ideały kulturalne duszy młodego pokolenia Polaków musiałoby pokolenie starsze toczyć twardą i nieustępliwą walkę z siłami kultur obcych. Tu na wyspie — z kulturą angielską, którą nie bez dużej dozy racji można dziś nazwać anglosaską względnie angloamerykańską.

Tej walki, przegrywanej każdego dnia i każdej godziny, nie da się ukryć ani przemilczeć. Nie zatrzymają i nie zastąpią żywiołowej siły kultury ani piosenki o Warszawie ani sentymentalne rewie ani koncerty Chopinowskie w hotelach ani wycinanki łowickie ani nawet sercem pisane książki i czasopisma.

Kultury nie da się utrzymać przy życiu zastrzykami, namiastkami, czy pigułkami. Książka, teatr, pismo, to tylko wyrwane luźne kartki z wielkiej księgi, to tylko kubki wody z płynącego strumienia. Kultury nie da się wysłuchać przez radio ni wypatrzeć przez telewizję. Kultura bowiem nie polega na konsumpcji, lecz na udziale, na twórczości, na postawie aktywnego odbiorcy. „Aktywny odbiorca zaś — pisze Bohdan Suchodolski („Skąd i dokąd idziemy“) — rodzi się tylko w sprzyjających okolicznościach życia. Nie istnieją bowiem zainteresowania duchowe, które by były zupełnie niezależne od warunków. Są

one zazwyczaj takie, jakim jest cały człowiek. Jeśli go przeło chcemy pozyskać dla uczestnictwa w świecie piękna i prawdy, dbać musimy o to, by jego życie codzienne stwarzało odpowiednie warunki dla dojrzewania w nim potrzeb duchowych.“

Kulturą zatem nie jest nawet najdokładniejsza znajomość dziejów ojczyzny, umiejętność przytoczenia wybitnych wierszy i nucenie narodowych melodii, lecz codzienny styl życia, sposób myślenia, kolorystyka wyobraźni, nabyty smak estetyczny, wyczuwanie i ocena wartości „chiopski rozsądek“ na codzień. Dom rodzinny mógłby może uformować duszę dziecka wedle wzorów kultury ojczyznej, ale czy istnieje na obczyźnie taki polski dom, który by mógł dziecku poświęcić się całkowicie? A nawet i taki przypadek niczem by nie zaradził. Albowiem kulturą przepojone jest powietrze, Kościół, szkoła, język, ulica, ludzie, czynności ludzkie, zainteresowania, zabawy, afisze, gazety, urzędy, potrawa i tak w nieskończoność, to są przecież wszystkie formy kulturalne — zupełnie inne, niż własne. Niepostrzeżenie kształcą one i tworzą psychikę, która nie była dotąd ukształcona.

Oczywiście, że istnieją pewne ponadnarodowe wartości kulturalne. Przede wszystkim religia. Ale i tu nie da się wyłączyć czynnika narodowego. Istnieje bowiem religia, ale istnieje też wyraźna kultura religijna. To wcale nie wstyd przyznać się, iż się woli bywać w kościele „polskim“ lub na nabożeństwach „polskich“. Ludzi tam bowiem kieruje ich kultura. Nie chodzi tu o istotę religii, lecz o jej formy, o nawyki, umiłowane sposoby wielbienia Boga, o język duszy. Najwyższym sposobem chwaleń Boga i modlitwy była w naszych kościołach pieśń, podczas gdy tu modlą się w ciszy. U nas była koronka, tu duże mszalisko. U nas barwne procesje, tętniące organami obrzędy, święcenia, tu jakby oschłość (dla nas) i powściągliwość. Pocóż zresztą udowadniać? Polska kultura, to kultura przepojona religią i życiem Kościola.

Otóż powietrza ojczyznej ni kultury ojczyznej nikt na obce wyspy nie przemiesci, nie nawieje, tak, by ich było dość dla życia. Walkę o charakter kulturalny i ideały kulturalne młodego polskiego pokolenia na emigracji przegrać niechybnie musimy. Tym bardziej musimy skoncentrować uwagę na zachowaniu miłości dla ojczyzny i języka. To nie jest już sprawa dyskusji. „Jeruzalem, Jeruzalem, jeśli bym Ciebie nie postawił na początku słów moich, niech uschnie prawica moja!“

A więc, panowie akademicy: macie rację, że was nie bawi polska kultura, skoro w duszach waszych zagościła już na dobre kultura inna. Tylko że to nie usprawiedliwia obojętności dla kultury macierzystej. Bo tylko ludzie bez ambicji lub bez sumienia mogą się wyrzekać swej matki.

Strzeżcie się więc, abyście nie zgubili polskich serc. Bo z tej straty nie wytłumaczycie się ani swoim ani obcym. Nie wytłumaczycie się żadnym językiem świata. Ani ludziom ani Bogu.

Jan Bielatowicz

(sp)

AMERYKANIE KUPILI BIBLIĘ GUTENBERGA

Niedawno na terenie Anglii odkryty został egzemplarz słynnej „biblii Gutenberga“ z r. 1456, jednej z pierwszych w ogóle drukowanych książek. Egzemplarz ten, obejmujący dwa tomy, wedle relacji Thomasa Dibdina z r. 1824 znajdował się w tym czasie w bibliotece Sir George'a Shuckburgh, później jednak gdzieś przepadł. Odnaleziony obecnie, przewieziony został samolotem do Nowego Jorku, gdzie znalazł nabywcę.

Wedle relacji amerykańskich zapłacono zań znacznie wyżej, niż za którykolwiek inny egzemplarz biblii Gutenberga, prasa jednak nie podaje wysokości ceny. Poprzednio, w r. 1947, inny egzemplarz, tzw. „A mherst copy“, sprzedany został w halli licytacyjnej Sotheby'ego w Londynie za 22.000 funtów.

LITERACKA PRAWDA O WRZEŚNIU

(Dokończenie)

Książka zawiera wiele scen, napisanych z niepoślednim talentem dramatycznym i znakomite dialogi. Posiada też zręczną symbolikę, opartą na nazwiskach. Wprowadzenie dwóch kaprali Polentków — w roku 1920 i 1939 — tamtego odważnego i żyjącego i owego miękkiego i ginącego, jest pomysłem dużej klasy. Osoby opowieści noszą historyczne względnie powieściowe nazwiska polskie. Przy ich pomocy wydobyla autor oryginalne asocjacje i kontrasty. Tak n.p. generał, który nie chciał bronić Lwowa, zwie się Kordecki.

„Obrachunek włodarzy“ nie jest tylko „opowieścią o Wrześniu“. Tytuł książki wskazuje, iż jest to też świadectwo o pokoleniu, które żyło w Polsce w okresie dwudziestu lat wolności. Przymioty moralne autora pozwoliły nie tylko na sprawiedliwą ocenę pokolenia, ale sprawiły również, iż „Obrachunek włodarzy“, poprawny stylistycznie i ciekawy treściowo, jest jedną z najwybitniejszych książek polskich, wydanych w ostatnich latach na obczyźnie.

Jan Bielatowicz

NOWE FILMY

(Dokończenie)

się na szybach zainteresowanych — Mrs. Edwards (Mai Zetterling), defraudantki z litości, malarza-dezertera (Dirk Bogarte), jego przyjaciółki Almy (b. udany debiut 19-letniej Joan Rise, która dostała po nim dwuletni kontrakt do wywórnicy brytyjskiej) i lekarza dr. Freemana (R. Flemyng). Dirk Bogarte czyni postępy w każdym kolejnym filmie, wykazując wybitną inteligencję i talent. Dobra reżyseria, wyrównana gra zespołu, energiczne tempo i ładne przejścia czynią z filmu dobrą kulturalną rozrywkę, stojącą już na pograniczu sztuki filmowej. Jeśli mimo to po wyjściu z kina nasuwają się pewne obiekcje — to wina skryptu, napisanego przez pp. H. Millsa i R. Vadima.

„Murder Without Crime“ zrobił na mnie wrażenie szmiry robionej świadomie w złym guście, mającej swych odbiorców wśród lower i lower middle class na tej wyspie. Okazuje się jednak, że grzech pierworodny tego filmu jest inny. Dramaturg mniejszego lotu p. J. Lee Thompson przerobił na film swoją sztukę sceniczną, a nieinteligentny reżyser kazał drugorzędny aktorom zgrzywać się na ekranie starymi teatralnymi gierkami. Wyższo potworne dziwactwo: celuloidowe charaktery, jakiś fałszywy patos, melodramatyczne sytuacje z nieprawdopodobnymi zdarzeniami. Nie warto streszczać fabuły, ani podawać nazwisk aktorów, bo film — choć pomyślany jako dramat psychologiczno-kryminalny — zasługuje tylko na pokazanie w muzeum mimowolnego humoru. Wbrew swemu tytułowi „Murder Without Crime“ jest zbrodnią — przeciwko sztuce.

Jan Bielatowicz

(sp)

Z Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. SWEDEN. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM, kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DABROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.